



OJCIEC NIKON.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

PRZEZ

T. T. J.

(DOKOŃCZENIE.)

Nla nieprzerwywania sobie następnie toku opowiadania, udamy się za tym gońcem, który aczkolwiek jechał szybko, bo noc i dzień i na rozstawnych koniach, dopiero na trzeci dzień przed świtem stanął w Chmielniku, gdzie podówczas znajdował się starosta warecki i stał oddział, którym dowodził Kazimierz Puławski.

Starosta już nie spał. Odczytał raporta. Pierwsza połowa mimowolnie twarz jego uśmiechem rozjaśniała; lecz czytając drugą połowę, brwi zmarszczył, zasępił się i natychmiast kazał przywołać do siebie Prokopa Dobrzańskiego.

— Czytaj...

I podał mu papiery.

Prokop zbladł jak ściana. Usta mu drzeć poczęły. Zaledwie zdobył się na wybąkanie wyrazów:

— To być nie może...

— I ja jestem pewny, że to być nie może — rzekł z przyciskiem starosta. W tem jest coś głębszego, aniżeli to, co myśli Potocki... Piszą, że indagacya i sądy, celem gruntownego zbadania rzeczy, przez kilka dni się pociągają... Jedźże ty, pędź... jutro o południu możesz stanąć w Husiatynie... Dam ci marszrutę na konie stójkowe i rozkaz, ażeby cała sprawa do mego przybycia została wstrzymana.

Zesz. XIII.

Ja także natychmiast ruszę w drogę... Daj Boże, żebyś na czas mógł zdążyć.

Prokop ze ściśnionem sercem wybiegł z kwatery regimentarza i w parę minut później już co koń wyskoczy pędził traktem do Latyczowa.

A w Husiatynie tymczasem odbywały się sądy.

Rozpatrzenie dowodów winy zabrało nie mało czasu. Trzeba było odczytać uważnie cały plik papierów, pisanych po większej części pismem cerkiewnem z tytułami i skrótami. Pomiedzy temi papierami znalazły się niektóre, mające ze sprawą pośredni związek. Były to listy pasterskie metropolitów i archirejów z różnych epok i listy prywatne prawosławnych duchownych, znajomych ojca Nikona, zawierające utyskiwania na unię lub złorzeczenia „paskudnemu“ łacinizmowi. Te co nosiły podpis Melchizedeka, były najgwałtowniejsze. Lecz najwyraźniejszym dowodem czynu zbrodni był list z podpisem: Izrael, będący odpowiedzią jakoby na pisanie ojca Nikona, zaręczający pomoc boską i imperatorowej wszechrosyjskiej dla wytepienia niegodziwych Lachów i oznajmiający posłanie w trzech workach święconych nożów. List ten, porównany ze znanym listem pasterskim Gerwazego, episkopa perejasławskiego i boryspolskiego, noszącym datę 14. marca 1767, zapewniającym o opiece Moskwy i nazywającym unitów „katami, grabieżcami i rozbójnikami“, jako też ze znalezionym przez

Cholewę listem i ze znalezionemi workami, stanowił dowód niezbity.

Rozpatrzenie zabrało dość czasu, i dopiero na trzeci dzień można było przystąpić do śledztwa, do którego przywołać było potrzeba diaka, pałamarza, cerkiewnego starostę i kilku gospodarzy olchowieckich, pozostających w bliższych bądź z cerkwią bądź z księdzem stosunkach. Każdego z nich trzeba było wybadać z osobna. Każdy tłumaczył się, że o niczem nie słyszał. Któryś bąknął o jakichś workach i sprawę zagmatwał. Pokazało się, że chodziło tu o worki z grochem. Nie prędzej przeto jak w czwartym dniu wezwany został cześnik do wytłumaczenia się z kartki z podpisem Kreczetnikowa i ze znalezionego na miejscu ujęcia jego listu.

Cześnik niczego się nie zapierał. O złamaniu słowa mowy nie było, bo nikt z zasiadających w sądzie o słowie nie wiedział; z wyprawy tłumaczył się rozkazem króla; z morderstw energią; z kartki tem, że Kreczetników przysłał człowieka, na to, aby mu zdał sprawę z pozycji i sił obozu i za przewodnika służył. Zahaczył się na znalezionym przez Cholewę liście.

— Pierwszy raz widzę — odpowiedział, gdy mu ten list został pokazany — gdybym się był dowiedział, że jaki pop lub chłopstwo do nożów się bierze, byłbym kazał wieszać.

Nie było sposobu dowieść, że ten list był przy nim. Lecz wyrodziło się pytanie, któż go mógł zgubić? Podejrzanie padło na przewodnika, a to dla tego, że list pisany był tem samym pismem, co kartka.

— Co się stało z przewodnikiem? — zapytał Potocki.

— Znikł, jak tylko wojsko uszykowałem.

Potrzeba było o tego przewodnika rozpytywać się w obozie tak komputowych jako też i konfederatów: czy nie widzieli w chwili napadu jakiego człowieka podejrzanego? a jeżeli widzieli, to: czy nie wiedzą, co się z nim stało? lub czy też go wypadkiem kto nie zna? Na to wszystko pytanie znalazła się ta odpowiedź, iż wkrótce po napadzie widziano jakiegoś człowieka, który po przed obóz się przesunął i do miasteczka się udał.

Koniec koncem cześnikowi nie można było nie wierzyć, i znaczenie listu pozostało zagadką.

Ale za to najmniejszej zagadkowości nie zawierała w sobie treść jego.

Wezwano ojca Nikona.

Staruszek wszedł spokojnie. Postawa jego szlachetna, wejrzenie pełne czystości sumienia, powaga wieku i wyraz twarzy znamionujący rozum wywarły na sędziów wpływ. Jak ich było dwunastu i prezes trzynasty, spojrzeli na niego ze współczuciem. Potocki kazał podać mu stół.

Rozpoczęła się indagacja.

Pomijamy wstępne zapytania, odnoszące się do nazwiska, stanu i wieku oskarżonego, i rozpoczniemy od tego, które się odnosiło do sprawy.

— Jaką drogą dostały ci się: list z podpisem Melchizedeka, list pasterski archireja perejasławskiego i list z podpisem: Izrael?

— Pierwszy przyniósł mi ślepy lirnik, który mi się wydał podejrzanym, i dla tego nie odpisałem na jego ręce.

— Dla czego wydał ci się podejrzanym?

— Dla tego, że rzeczy wiary łączył z widokami moskiewskich monarchów.

— Cóż to był za jeden?

Ojciec Nikon opowiedział wszystko, co się o Tanasie z jego własnych ust dowiedział.

— Czy się co podobnego mogło stać? — zapytał Potocki obecnych.

Pomiędzy sędziami znalazł się jeden z okolic Kanio-wa, i ten ramionami wzruszył, mówiąc, że po raz pierwszy w życiu słyszy o całej tej historii spalenia rodziny popa Lasińskiego.

— Jakimże sposobem dostał się do rąk twoich list pasterski? — zwrócił się Potocki z zapytaniem do ojca Nikona.

Ten list nigdy nie był w moich rękach...

— A list z podpisem: Izrael?

— Ani ten...

— A worki z nożami?

Tu ukazał palcem na trzy wory, które były rozwiązane, i z których wyglądały pozwiązane w pęki trzonkami na zewnątrz spore noże.

Ojciec Nikon rzucił na nie okiem, lekko westchnął, głową pokiwał i odpowiedział:

— Panowie, wiem z góry, że mi nie uwierzycie, jeżeli bym wam powiedział, że o tych nożach i o dwóch ostatnich pismach pierwszy raz w życiu dowiedziałem się, kiedy wysłaniec wasz znalazł je w moim domu i mnie je pokazał... I ja bym nie uwierzył, gdybym był na waszem miejscu... Dla mnie są one dowodem, że byłem złym gospodarzem, bo nie wiedziałem, co się w moim własnym domu dzieje. Dla was są dowodem, że knowałem przeciwko spółrodakom moim i tej ojczyźnie, za którą przez całe moje życie Boga prosiłem, i za którą gotów jestem dziś całą moją krew wylać.

Ostatnie wyrazy wymówił głosem tak rzewnym i tak głęboką prawdą nabrzmiałym, że sędziowie i wszyscy obecni doznali mimowolnego wzruszenia.

Po chwili prezes rzekł:

— Przecież to dowód wyraźny...

— Wyraźny — odparł staruszek, z gościem niewątpliwie oznaczającym.

— Więc musisz wiedzieć, jakim sposobem te przedmioty dostały się do ciebie?

Starzec ramionami wzruszył i odpowiedział:

— Chyba mi je kto podrzucił.

— O! — podchwycił prezes surowiej — do takiego tłu-

maczenia nie uciekaj się starcze... Nie podrzuca się listów w takie kryjówki, w jakich znalezionemi zostały, ani dużych worów do piwnicy... To jest niepodobieństwem.

Staruszek milczał.

— Ale przypuśćmy — ciągnął prezes — że listy i noże ktoś podrzucił... Więc musisz mieć na kogoś podejrzenie? Na kogoż?

— Nie podejrzewam nikogo — była odpowiedź ojca Nikona.

— Przyznaj się... radzę ci — rzekł prezes — bo musisz o tem wiedzieć, że mamy środki zmuszenia do przyznania.

— Wiem o tem, ale ja z mojej strony radzę wam panowie, nie używajcie tych środków... Powiedzieć coś nad to, co powiedziałem, nie powiem, bo więcej nic nie wiem; a mam lat siedmdziesiąt i sześć, to turtury nie wytrzymam. Macie dowody... Wiem, że przeciwko tym dowodom przeczenie z mojej strony nic nie może... Sądźcie mnie wedle tych dowodów...

— Więc może nam co powiesz na twoje tłumaczenie?

Znów starzec ramionami wzruszył.

— Cóż powiem? Niektórzy ludzie znali mnie bliżej, jako dobrego Polaka...

— Któż cię znał?

— Biskup Krasiniński, pan Józef Puławski, pan Kwaśniewski, pan Dymitr Kociuba... Oniby mogli poświadczyć, że nie byłem w stanie knować przeciwko ojczyźnie...

W tej chwili odezwały się żałośnie dzwony, i dały się słyszeć hymny pogrzebowe. Po przed dom, w którym się sąd odbywał, ciągnął orszak za niesioną na barkach przez konfederatów trumną, za którą najbliżej szła kobieta w żałobie i siedmioro dzieci koło niej, a za nią tłumy szlachty, husiatynscy mieszczanie i cała olchowiecka gromada. Dzieci głośno płakały i wołały:

— Tatu nasz! tatu!

Włóścianie płakali. W tłumach panował smutek. Kobieta nie płakała, tylko na twarzy niosła piętno głębokiej boleści.

Sędziowie z miejsc swoich powstali, a zwróciwszy się ku drzwiom na ulicę otwartym, przyklękli, głowę kornie pochylili i poczęli „anioł pański“ odmawiać.

Ojciec Nikon zerwał się z miejsca. Z oczów jego strzeliło zapytanie i mocne wzruszenie.

— Kogo to chowają? — zawołał.

— Dymitra Kociubę... — ktoś półgłosem odpowiedział.

— O Boże! — jęknął ksiądz — biedna żona! biedne dzieci!

Nie powiedział: „biedny ja!“, pomimo że Kociuba był jedynym, co mógł o jego patriotyzmie poświadczyć. Kilka kropel łez z oczów mu się stoczyło, ukląkł i cichą za nieboszczyka odmówił modlitwę.

Po przejściu orszaku sędziowie zajęli swoje miejsca.

— Więc nie masz nic na swoje tłumaczenie? — rzekł prezes.

— Nie — odrzekł ksiądz.

— I nie powiesz, jakim sposobem listy i noże do ciebie się dostały?

— Nie wiem...

Prezes popatrzył mu przez chwilę pilnie ze ślęczyciem w oczy, głową pokiwał i rzekł:

— Starcze, smutny cię czeka los.

— Wiem — odrzekł ojciec Nikon — ale użyżcie mi panowie chwilę cierpliwości i pozwólcie mi zrobić wam jedno przedstawienie... Przyznam się, że pragnąłbym umrzeć albo śmiercią naturalną, która jest dla mnie nie daleką, albo jeżeli Bogu inaczej się podobało, śmiercią zadaną przez nieprzyjaciół naszej ojczyzny, a to dla tego, ażeby kto nie pomyślał, że umarłem jako męczennik za wiarę... To nie jednemu może przyjdzie do głowy... Ja jestem błahoczysty, wy katolicy... Wobec Boga i wobec ojczyzny jest to jedno i to samo... Błahoczysty może być lepszym Polakiem, aniżeli katolik; a moje głębokie przekonanie, może nawet z Boga płynące natchnienie powiada mi, że błahoczyste czystą, prawdziwą religią może być tylko w Polsce, uwolnionej od wszelkich wpływów i podszeptów obcych, tylko w Polsce, idącej za własnem natchnieniem, niepodległej i wolnej... Więc właśnie dla tego, że jestem błahoczystym i moję wiarę kocham, pomijam to, że umarłem Polakiem urodził, pragnę dla Polski wielkości, potęgi, niepodległości i wolności... pragnę, ażeby ona nie wyglądała w oczach ludzi jako prześladowczyni jakiegokolwiek wiary, o co, wiem o tem lepiej niż wy, z taką usilnością stara się zły sąsiad, którego mamy pod bokiem, przeciwko któremu panowie wzięliście się do oręża i który głosi się obrońcą prawosławia... On tego jak najgoręcej pragnie, ażeby Polska wyłącznie katolicką się głosiła i jako taka prawosławie prześladowała, bo inaczej nie mógłby być obrońcą... Więc zważcie, jeżeli mnie na śmierć skazacie, ażeby broń Boże! śmierć moja przez nieprzyjaciół naszych ogłoszoną nie została jako męczeństwo za wiarę... ażeby nie wyszła na szkodę ojczyzny... Odbijają się o moje uszy wołania: szyszmatyk!... Więc, jeżeli mnie na śmierć skazacie, powiedźcie, że skazujecie mnie nie jako szyszmatyka, ale jako Polaka, co się obowiązkom swoim sprzeniewierzył.

Wymówiwszy to zasłonił oczy dłonią, i pierś jego podniosła się głębokiem westchnieniem. I dodał:

— Ha!... pragnąłbym umrzeć inaczej...

Wzniósł oczy w górę.

— „Panie, nie moja, ale twoja niech się stanie wola“.

Sędziowie byli wzruszeni. Potocki kazał wyprowadzić starca, a gdy się drzwi za nim zamknęły, rzekł:

— Sumienie mi powiada, że ten człowiek jest niewinny.

Dwanaście głów pochyliło się oznaką potwierdzenia. Lecz po tej oznace wzroki wszystkich sędziów zwróciły się na wyglądające z worów noże i na rozłożone na stole papiery, i wszyscy razem głowami smutnie pokiwali. Było to

nieme, jednogłośnie zgodzenie się na wyrok. Prezes zwrócił się do trzymającego pióro i rzekł sucho:

— Pisz waść...

Po chwili wyrok, z rąk do rąk podawany, obszedł do koła. Każdy z sędziów przeczytał go w milczeniu i swój podpis szybko nakreślił, a nikt nie zażądał głośnego odczytania, bo podpisywał wbrew sumieniu.

Po chwili znów wprowadzono ojca Nikona. Temu co wyrok czytał, głos drgał, jakby popełnił zły uczynek.

Ojciec Nikon zamyślił się.

W izbie panowało grobowe milczenie, które przerwał prezes:

— Starcze, skazany jesteś na śmierć...

— Wiem... i ostatnie chwile mego życia poświęcę na modlitwę do stwórcy o to, aby śmierć moja choć odrobinę korzyści Polsce przyniosła, aby rzuciła postrach na tych, co przeciwko ojczyźnie poczynają lub poczynać zamysłają.

— Czy masz jakie życzenie?

— Żadnego... Mam wnuczkę, z którą się widzieć nie chcę, ażeby jej boleści oszczędzić, która będzie dla niej mniejszą, gdy się o śmierci mojej dowie po czynie spełnionym. Pragnę tylko wypowiadać się przed kapłanem mojej wiary, i pragnąłbym, aby zwłoki moje złożone zostały na olchowieckim smętarzu obok grobów mojej żony i mego syna.

— Woli twojej stanie się zadość — rzekł prezes, oczy kułakiem obcierając — każę poszukać dyzunickiego księdza.

Sąd się rozszedł.

Starzec powrócił do więzienia, ukląkł i utonął w modlitwie.

Wyrok, wydany z wieczora, wykonany miał być na-jutrz o porannej godzinie.

Przez cały wieczór i przez całą noc starzec ani na jedną chwilę nie oderwał się od modlitwy. Jedzenie, które mu przyniesiono, stało na stole nietknięte. On klęczał przy stołku, pochylony i łokciami wsparty, i nie wstał z kolan aż z rana, kiedy do więzienia wszedł ksiądz.

Odwrócił się powoli, i zdziwiony a pełen zapytania wzrok w przybyszu utkwiał.

— Dziwisz się ojcie — odezwał się ten ostatni. — Na mnie niegodnego spłynęła łaska boska, która wyraziła się cudem. Za sprawą Matki Boskiej odzyskałem wzrok...

Ojciec Nikon ręce złożył i głowę pochylił.

— Panie jesteś wszechmocny. Dla ciebie nie masz nic niemożliwego... — powiedział półgłosem, a zwracając się do przybysza dodał:

— Wysłuchaj ojcie spowiedzi mojej i daj mi posiłek na drogę wiecznego żywota.

Odbyła się cicha spowiedź; po niej nastąpiła komunia, poczem przybysz rzekł:

— Władza duchowna, troskliwa o dobro owieczek do prawosławnego kościoła należących, przewidując, iż z po-

wodu wieku waszego olchowiecka parafia osieroconą zostanie, naznaczyła mnie, ojcie wielbny, waszym następcą.

Starzec dziwnie na te słowa zesmutniał.

Przybysz po chwili mówił dalej.

— Ja wam nie mogę towarzyszyć na miejsce kaźni... bo chcę wzroku Lachów uniknąć, pomiędzy którymi są tacy, co widzieli mnie ciemnym i w bezbożności swojej nie wierzą w cud; mogą się do mnie przyczepić, co byłoby ze szkodą parafii.

— Róbcie ojcie, jak chcecie — odrzekł starzec — może Bóg natchnie mnie siłą, że zajdę sam.

Przybysz wyszedł, a ojciec Nikon głośno zawołał:

— Panie! Panie! W ostatniej chwili mego życia oddal odemnie złe myśli...

Wkrótce potem wybiła godzina egzekucyi.

Na tym samym placu, na którym odbyło się spotkanie konfederatów z pancernymi, wzniesionem zostało niewysokie rusztowanie. Tłum ludu je otaczał i mruczał.

— Szyzmatyk... szyzmatyk...

Lecz kiedy na wozie, żołnierzami otoczonym, ukazał się starzec białowłosy, poważny a spokojny, kiedy łagodnym okiem powiódł do koła i uśmiechem witał w oczy mu patrzących, mruczenie ustało, w tłumie zapanowała cisza, i nieopisany żal serca ogarnął.

Ojciec Nikon o własnej sile wszedł na rusztowanie, stanął na środku i podniosłszy głos jak można najwyżej, czysto, dźwięcznie następujące wymówił wyrazy:

— Bracia moi! kochajcie się pomiędzy sobą, i na prawie Chrystusa, na miłości Polskę odbuduwujcie!

To rzekłszy, obejrzał się do koła, uśmiechnął się, ukląkł, przeżegnał się, głowę pochylił i szyję wyciągnął. Stojący obok niego dragon podniósł miecz w górę, żelazo w powietrzu błysnęło, mignęło i... pomrukiem rozległ się w tłumach: „anioł pański!“ Krew zbroczyła deski. Drgające ciało z głuchym łoskotem runęło. Głowa się potoczyła, ruszając przez chwilę konwulsyjnie szczękami i łypiąc powiekami.

W tej chwili nieopodal na błonię dał się słyszeć gwałtowny tentent. Jakiś jeździec na spienionym koniu wpadł w tłumy i tratując tych, co umknąć nie zdołali, przypadł do rusztowania i konia na miejscu osadził.

Ponury, przeraźliwy ryk wydarł się mu z piersi.

Zwalił się z konia, zerwał się, wskoczył na rusztowanie, przypadł do ciała i przylgnął ustami do nóg ściętego, poskoczył ku głowie, wziął ją w dłonie i do ciała przyłożył. Ludzie w milczeniu przypatrywali się usiłowaniu ocalenia tego, co dopiero na sąd ostateczny ocalonem stanie. Widocznie rozpacz przytomności go pozbawiła. Złożył trupa, usiadł obok i ręce na piersiach skrzyżował.

A był to konfederat z oddziału młodego Puławskiego, poznali to wszyscy po krzyżu na odzieży wyszytym i po czapce z czterema rogami.

I szanowała ciżba boleść, która w niemy sposób biła z młodej konfederata postaci.

— Kto to? kto to? — pytano po cichu.

Młodzieniec wstał, trząsnął sobą, jakby chciał jakiś ciężar z barków zrzucić, zeszedł z rusztowania i spokojnie o pułkownika zapytał.

Ukazano mu namiot. Poszedł. Po chwili wyszedł z namiotu wraz z Potockim, który był jakby pomieszany. I podczas kiedy ten ostatni dawał rozkazy, ażeby dla zwłok świętego zrobić przyzwoitą trumnę, konfederat usiadł na konia i udał się do Olchowca.

na dziadkowy przekaz oczekiwała, do izby wszedł Tanas.

Dziewczyna w ręce plasnęła i krzyknęła.

— Wybiła nakoniec godzina — były pierwsze uroczyste wymówione wyrazy wchodzącego.

Jerynka zrozumiała znaczenie tych wyrazów. Domyśliła się tego, że ubóstwiany jej przyszedł w dzień i w kapłańskiej odzieży.

Wszedł śmiało, usiadł na tapczanie, i przeplatając cytacjami z pisma świętego, mówić zaczął o doświadczeniach, jakimi Bóg ludzi próbuje.

Był to, jak każdy się domyśli, wstęp przygotowujący dziewczynę do strasznej wieści. Jerynka słuchała; wyraz



Lecz Prokop — on to był bowiem — odepchnął siostrę...

(str. 394).

Jerynka o niczem nie wiedziała. Po zaaresztowaniu dziadka nie mogła się w żalu utulić; płakała, płakała, ustawała chwilami, i znów łzy strumieniami rzucały się jej z powiek. Rozumiała, że te listy i te worki są powodem całego nieszczęścia; lecz jej w uszach i sercu brzmiał rozkaz świętego obłubieńca.

Na drugi dzień dziadek przekazał jej pozdrowienie i zalecenie, aby była spokojną. Na trzeci dzień powtórzył pozdrowienie i zalecenie. Na czwarty dzień znów powtórzenie pozdrowienia i zalecenia nastąpiło, z dodatkiem żądania czystej bielizny. Na piąty dzień, w chwili kiedy ona

każdy połykała i domyślać się poczęła, że to jest mówienie przygotowujące.

— O! — zawołała i do Tanasa z płaczem się pogarnęła.

— Cicho... cicho... — mówił tuląc jej głowę do piersi.

Dziewczyna, jakby przecuciem przygnieciona, głośno zalkała.

On ją coraz mocniej tulił; ona coraz mocniej łkała.

Nagle na progu izdebki pojawił się świadek, z krzyżem na piersiach, z szablą przy boku, z pistoletami za pasem, w czwororożnej czapce — konfederat.

Tanas ręce opuścił, niby zmartwiałe, i mówienie nagle

urwał. Jerynka się obejrzała, skoczyła i tłumiąc w sobie łkanie, z radośnym krzykiem ku drzwiom się rzuciła.

Lecz Prokop — on to był bowiem — odepchnął siostrę. Jednym susem rzucił się na Tanasa, za piersi go porwał, wstrząsnął i podniósł.

— To ty noże i listy podrzuciłeś?

Tanas zbladł jak chusta.

— Ty oszuście, coś ślepca udawał! Ty kłamco, coś niebywałą historię o spaleniu ojca i matki opowiadał! Ty, coś nienawiść siał! Ty noże i listy do tego domu podrzuciłeś! Mów! Mów!

Na te słowa spazmatyczne, przeraźliwe, wrzaśnięcie wydarło się z piersi Jerynki. Porwała brata za rękaw, poczęła go szarpać i krzyczeć:

— To ja! to ja!...

— Ty? — zapytał Prokop, odwracając głowę do siostry.

— On przyniósł, ja podrzuciła!

Prokop puścił Tanasa i zwróciwszy się całą postacią do Jerynki — rzekł do niej powoli:

— Widzisz krew na mojej odzieży? To krew naszego dziadka... Za te noże i listy, co on przyniósł a ty podrzuciła, ścięli go przed chwilą.

Dziewczyna znów wrzasnęła i natychmiast potem zaśmiała się. Śmiech jej zmienił się w ryhot, który zrazu

przelewał się niby trele pieśni, lecz się w końcu zamienił w pieśń. Jerynka krzyknęła:

— Cho chi! Spalą nas Lachy za wiarę, za prawdziwą wiarę!... Hej Laszki! tu do mnie! Będę tańcować w płomieniach i mój miły ze mną! Święty Tanasie!

Poczęła się wykrzywiać i podskakiwać jak do tańca.

Prokop ręce na piersiach skrzyżował, w zdumieniu patrząc na siostrę. Tanas, korzystając z chwili, usunął się mu po za plecy i kilka kroków na palcach ku drzwiom postawił. Lecz Prokop, jakby raptem ze snu się ocknąwszy, skoczył i przy samym progu za kołnierz go ujął.

— Poczekaj! — groźnie krzyknął — to ci na sucho nie ujdzie! Pamięć mego dziada oczyszcze!

We dwa dni potem wspaniały pogrzeb ciągnął z Husiatyna do Olchowca. Trumnę niosła starszyzna konfederacka; tuż za nią szli starosta warecki i Prokop, a za nim, ciągnęły tłumy. Na trumnie był napis — brązowymi wysadzony gwoździami:

Bracia moi! kochajcie się pomiędzy sobą, i na prawie Chrystusa, na miłości Polskę odbudowujcie.

K O N I E C.

KRÓL DON-ŻUAN.

KOMEDIA W V AKTACH.

PRZEZ

ADAMA BEŁCIKOWSKIEGO.

AKT PIĄTY.

Sala na zamku.

SCENA PIERWSZA.

P. KOZEL. LEBEAU (wchodzą.)

P. KOZEL. Panie Lebeau, zajmij się tem ze zwykłą swoją pilnością. Wypakujesz garderobę królewską i kosztowności. O reszcie ja już będę pamiętać.

LEBEAU. Czy mam to uczynić zaraz?

P. KOZEL. Jak najprędzej. Pospiech jest potrzebny, bo nie można oznaczyć godziny, kiedy wszystko powinno być gotowe. Każesz także zaprządz do pojazdów i furgonów, jak się to zwykle dzieje przy dalszej podróży króla.

LEBEAU. J. K. Mość wyjeżdża?

P. KOZEL. To nie jest jeszcze pewne. Ale na wszelki wypadek powinien wszystko znaleźć w gotowości, tak aby w jednej chwili mógł opuścić Warszawę.

LEBEAU. Dobrze.

P. KOZEL. Staraj się przytem jak najmniej zwracać uwagi.

LEBEAU. Dobrze.

P. KOZEL. Polegam na tobie panie Lebeau. (Lebeau wychodzi.) Chwila stanowcza się zbliża... Wdałam się w grę niebezpieczną, ale cokolwiekby król musi przyznać, że mu tylko równą monetą odpłacam. (Randzau wchodzi.)

SCENA DRUGA.

P. KOZEL. RANDZAU.

(Randzau zajęty myślami nie spostrzega pani Kozel.)

P. KOZEL. Dzień dobry Randzau. Zdajesz się być nie w najlepszym usposobieniu?

RANDZAU. Jakżem szczęśliwy, że cię spotykam. Wiesz, że od niejakiego czasu upatruję cię i szukam.

P. KOZEL. Tak jak ja to niedawno za tobą czyniłam.

RANDZAU. Właśnie toż samo chciałem powiedzieć.

P. KOZEL. Przez ten czas wielka w tobie zaszła odmiana. Jesteś kwaśny i krzywy...

RANDZAU. Gdybym się nie wstydził prawie ci komplementów, mógłbym powiedzieć, że to z tęsknoty za tobą.

P. KOZEL. Wybornie!

RANDZAU. Ale dajmy pokój żartom.

P. KOZEL. Tak, pora intryg i komedyi już minęła.

RANDZAU. Zgrzeszyłem, moja siostró.

P. KOZEL. Przyznajesz się do winy?...

RANDZAU. Nie zupełnie, to jest nie przypisuję sobie tak wielkiej winy, jaką ty mnie obarczasz.

P. KOZEL. Najzupełniejsza zdrada i oszukaństwo!

RANDZAU. Niekoniecznie.

P. KOZEL. Czy tak?

RANDZAU. Spodziewam się, że sama to rozumiesz.

P. KOZEL. Bynajmniej.

RANDZAU. Czyż tak wielkie z tego powodu poniosłaś straty?

P. KOZEL. Dzisiaj nie mogę jeszcze powiedzieć ani tak ani nie. Ale niebezpieczeństwo było wielkie, do tej chwili jeszcze mi grozi, a potem...

RANDZAU. A potem co jeszcze?

P. KOZEL. Moje łzy, moje zmartwienie!

RANDZAU. Oh, oh!

P. KOZEL. Nie wierzysz?

RANDZAU. Nie wierzę z zasady we wszelkie czułości. Widziałas wszystko przez pryzmat uprzedzenia i zazdrości. Rzadko która ulubienica była tak jak panna Duval bezpieczna dla swej poprzedniczki. Czegoż ona chciała? Kochać króla. Kochać, to nie znaczy zajmować pierwsze miejsce przy jego boku, ani rej wodzić na dworze, ani kierować sprawami króla, jego wolą, rozumem, polityką itp. Dlatego z największą łatwością mogłyście podzielić się osobą J. K. Mości; on sam nie czego innego pragnął, i dziwi się bardzo, dlaczego ty, moja siostró, dobijasz się tak usilnie o tę najblahszą bez wątpienia z atrybucyi królewskich — o jego serce. Stanowisko twoje nie było bynajmniej zachwiane, i mogłaś z uśmiechem spokoju przyglądać się szaleństwu J. K. Mości.

P. KOZEL. Na to trzeba być takim cynikiem jak ty!

RANDZAU. Na to trzeba mieć rozum! Tymczasem, cóż zrobiłaś dobrego, słuchając tylko swojej namiętności? Mieliśmy już niejedną burzę—ale mniejsza o to, od kilku dni horyzont tak się zachmurzył, że nie wiem, co nas jeszcze spotka...

P. KOZEL. Katastrofa, a potem spokój zupełny.

RANDZAU. I jedno i drugie jest niedobre. Człowiek powinien unikać i nagłych wstrząśnień, które są wybuchem nagromadzonych żywiołów uczucia, i tej martwej ciszy, w której jego krew gnije, a umysł tępieje. Lekkie falowanie po powierzchni świata, to się zowie życiem rozumem, to stanowi równo-

wagę ducha i materji, i tę harmonią, która jest celem człowieka.

P. KOZEL. Chcesz mnie nawrócić?

RANDZAU. Lubię czasem filozofować. Ale chciej mi powiedzieć, z której strony uderzy ten piorun?

P. KOZEL. To byłaby wielka naiwność z mej strony.

RANDZAU. Nie wierzysz mi?

P. KOZEL. Naturalnie.

RANDZAU. Ale ja pragnę żyć z tobą w zgodzie.

P. KOZEL. Czujesz się pokonanym?

RANDZAU. Cokolwiek.

P. KOZEL. To mi pochlebia.

RANDZAU. Jesteś zbyt ostrą. Ręczę, że ty kierujesz temi gromami, które spadają na króla z ręki Prymasa. Pani Feszen dała ci się użyć za narzędzie.

P. KOZEL. Przyznasz, żebyś go dobrze dobrała.

RANDZAU. Ale do czegoż to wszystko doprowadzi? Czy sądzisz, że król wybrnąwszy z tych kłopotów, nie zwróci się znów z całą miłością do Duvali.

P. KOZEL. Tak, gdybym dziela tylko w połowie dokonała. Ale tak nierozsądną nie będę.

RANDZAU. Ty coś straszного zamýślasz?

P. KOZEL. Nie lubię grozić. Zobaczysz niedługo.

RANDZAU. A kiedy zwyciężysz, czy będziesz wspaniałomyślną?

P. KOZEL. Dla kogo?

RANDZAU. Najprzód dla króla...

P. KOZEL. We wszystkim co czynię, mam tylko jego dobro na oku.

RANDZAU. A dla mnie?

P. KOZEL. Dla ciebie? A to rzecz inna! Spodziewam się, że wszelkie zmiany losu będziesz umiał znieść ze spokojem filozoficznym, i nie dasz nad sobą zaważać uczuciu tak, abyś stracił równowagę moralną. Tymczasem mogę ci tylko powiedzieć: bądź spokojny i nie daj się trwożyć strachom wyobraźni. (Zamierza się odejść.)

RANDZAU. Ależ zaczekaj!

P. KOZEL. Nie mam czasu. (Odechodzi.)

RANDZAU. Masz tobie! Oddała mi wet za wet. Musi być pewną swego. (Król wchodzi.)

SCENA TRZECIA.

RANDZAU. KRÓL. (POŹNIEJ) LEBEAU. ROBERT.

KRÓL (zatrzymując się nie daleko drzwi i patrząc na Randzaua.) Randzau, nie lubię tego.

RANDZAU (podnosząc głowę). Czego, N. Panie?

KRÓL. Kiedy jesteś w złym humorze.

RANDZAU. Od kilku dni podobno wszyscy podlegamy tej chorobie. Czoło W. K. Mości nie wolne także od zmarszczek.

KRÓL. Dlatego właśnie chciałbym widzieć na innych uśmiech i wesołość.

RANDZAU. Niestety! należy to do niekorzystnych przywilejów wyższości, że wszystko dokoła podług swojego tonu nastroja.

KRÓL. Nie pamiętam, czy byłem kiedy tak upadły na duchu jak teraz. To powietrze ciąży mi na piersiach. Musimy być przygotowani na największe nieszczęście. Zdrada ze wszystkich stron nas obsaczyła!

RANDZAU. Czyli odstępstwo Prymasa jest już zupełnie pewne?

KRÓL. Nie podlega już żadnej wątpliwości. A co więcej, w jego postępowaniu widać pewną złowróżbną logikę, pewną systematyczność, która każe się spodziewać coraz zuchwalszych kroków. Po owym liście pełnym uprzejmości, wieczorem tego samego dnia przysłała mi inny, w którym podaje mi swoje warunki, tak twarde, że ich na żaden sposób przyjąć nie mogłem. Potem widzę się z nim, i oświadcza mi, że chce zostać neutralny. Potem na nowe moje wezwanie odpisuje, że zrywa ze mną wszelkie stosunki. Tymczasem nadchodzi wiadomość, że Szwedzi przeszli granice Rzeczypospolitej. Widocznie Prymas i Karol XII. już się porozumieli. Co z tego będzie, boję się przewidywać!

RANDZAU. Czy W. K. Mość się domyśla, kto jest sprawcą tego nieszczęścia?

KRÓL. Pani Feszen? myślisz. I mnie to przechodziło przez głowę, a jednak temu wiary dać nie mogę. Pomimo całego jej gniewu wątpię, aby mnie chciała gubić. Przypuszczam raczej, że została równie jak ja oszukana przez Prymasa.

RANDZAU. Kobięty są to stworzenia, które we wszystkim przesadzają. I pani Feszen mogła przebrać miarę w swej zemście, zwłaszcza jeśli znalazła podniętą ze strony pani Kozel.

KRÓL. Ze strony pani Kozel? To niepodobna! Pani Kozel nadto jest polityczną głową, by nawet dla kapryśnej zemsty narażać na szwank moją sprawę.

RANDZAU. Niech W. K. Mość nie wierzy dobremu sercu ani rozumowi tych kobiet. Ich współnictwo w tej sprawie widoczne jest od pierwszego kroku. Zazdrość je zaślepiła, i zwały na głowę W. K. Mości ten straszny ciężar.

KRÓL. Ah, okropny ciężar! Od czterech dni pierwsza to podobno swobodniejsza chwila, gdzie mogę z tobą rozmawiać. Ustawne interesa, narady z ministrami, korespondencje, posłuchania, odwiedziny, ciągle a coraz gorsze wiadomości — i tak bez końca, że odetchnąć nie mogę swobodnie, że mi aż głowa pęka. Wolałbym rzucić już te nudne mury gabinetu i udać się na pole walki. Ah, Randzau, gdzie się podziały nasze dobre czasy!

RANDZAU. Niestety!

KRÓL (po chwili). Co też porabia Henryka? Od czterech dni jej nie widziałem.

RANDZAU. Tak, całe dni cztery.

KRÓL. Musi za mną tęsknić... Po czterech dniach pierwszy raz o niej pomyślałem. Ale niechno zwalę raz z karku te kłopoty!

LEBEAU (wchodzi). Oficer z gwardyi prosi o posłuchanie u W. K. Mości.

KRÓL. Nie mam czasu. Niech przyjdzie kiedyindziej.

LEBEAU. Powiada, że ma pilny osobisty interes.

KRÓL. Wpuść go. (Lebeau się oddala. Wchodzi Robert.)

ROBERT (oddawszy ukłon). Mam zaszczyt przedstawić się W. K. Mości. Jestem porucznikiem w gwardyi...

KRÓL. Czegoż waćpan żądasz?

ROBERT. W. K. Mość przypomina sobie może moją osobę. Przed kilku dniami w ogrodzie tej nocy, kiedy...

RANDZAU (nachylając się nad krzesłem króla). To ten zuch, co tak natarczywie mię zagadnął.

KRÓL (wstając). To waćpan. Tak przypominam sobie.

ROBERT. Interes będący w styczności z ową przygodą sprwadza mię przed oblicze W. K. Mości. Pragnąłbym jednak pomówić bez świadków.

KRÓL. Oddał się Randzau. (Randzau wychodzi.)

SCENA CZWARTA.

KRÓL. ROBERT.

KRÓL. Przychodzisz od Henryki?

ROBERT. Tak N. Panie. Niech to W. K. Mości nie dziwi. Ja kocham Henrykę, nie tak wprawdzie jak mój kolega Wilhelm albo jak... kocham ją jak moją siostrę, jak moje dziecko. W. K. Mość sam wiesz najlepiej, jakie to szlachetne stworzenie...

KRÓL. Tak, tak. Jakże Henryka się miewa?

ROBERT. Jest zdrowa, chociaż teraz smutniejsza niż dawniej. Ale nie ma się czemu dziwić! Otóż ja, jak W. K. Mości wiadomo, znajdowałem się z moim kolegą w ogrodzie owej nocy... Przybyłem tam przez przyjaźń dla Wilhelma i Henryki. Wilhelm przedstawił mi inaczej te rzeczy, tak że później nie wszystko mogłem zrozumieć. W. K. Mość się domyślasz, że nie mogłem pojąć, jakim sposobem Wilhelm widział Henrykę wchodzącą do ogrodu, kiedy jak się później pokazało, jej tam wcale nie było, albo dlaczego W. K. Mość biłeś się z Wilhelmem, kiedyśmy się na Randzaua gotowali, i z jakiego powodu pani Kozel czyniła W. K. Mości wyrzuty o Henrykę, kiedy się przekonała, że to było czyste przywidzenie. Pytałem o to wszystko Wilhelma, ale milczał jak skała.

KRÓL. Waćpan masz zapewne jakieś polecenia od Henryki?

ROBERT. Tak N. Panie. Właśnie przychodzę do tego. Udałem się zatem z zapytaniem do Henryki. Ona była otwartą. Z tego co mi powiedziała, i czego sam byłem świadkiem, poznałem całą prawdę. Odtąd przyjaźń moja z Henryką stała się ściślejszą, chcąc nie chcąc zostałem jej powiernikiem, i przez

tych kilka dni ostatnich wiem prawie o każdej jej myśli. Henryka ciągle była smutną, codzień smutniejszą. Zapytywałem ją o powód. Ale w tym jedynie wypadku była dla mnie tajemniczą, zbywając mię lekkim uśmiechem. Nareszcie dzisiaj odezwała się do mnie: Panie Robercie, chcesz mi zrobić łaskę? Jestem bardzo niespokojna, od czterech dni nie widziałam króla. Jak słyhać, wojna się już rozpoczęła. Król musi być bardzo zajęty i zmartwiony. Idź na zamek i przypomnij mu Henrykę, powiedz, że się modlę o jego szczęście...

KRÓL. Dobra Henryka!

ROBERT. Tak mówiła do mnie. Ale w tej chwili, kiedy odwróciła się ode mnie, wyszeptała sama do siebie: On mnie zapomniał!... N. Panie, miej litość nad tem dzieckiem, pociesz ją i zapewnij, bo ta myśl zabija ją powoli. Mówiła mi o pani Kozel i o pani Feszen. Ona jest pewna, że te panie niedługo zatrą jej pamięć w sercu W. K. Mości... pamięć jej, biednej dziewczyny...

KRÓL. Dziękuję waćpanu za te wiadomości, i cieszę się, że mogę przez ciebie porozumieć się z Henryką...

ROBERT. Słowo W. K. Mości będzie dla niej wielką pociechą...

LEBEAU (wchodzi.) Pani Feszen.

KRÓL. Znów ona! Prosić. (Lebeau odchodzi. Król przechadza się wielkimi krokami.) Co to ma znaczyć?

ROBERT. N. Panie, cóż mam powiedzieć Henryce?

KRÓL. Zaczekaj waćpan w przedpokoju, odpowiem później.

ROBERT. Będę czekać... (salutuje—w głębi spotyka się z panią Feszen, przygląda się jej bystro i zmarszczywszy brwi odchodzi.)

SCENA PIĄTA.

KRÓL. P. FESZEN.

KRÓL (zatrzymując się za jej wejściem i stając naprzeciw niej.) Przybycie pani mocno mię dziwi—przeczuwam, że mi zwiastuje nowe jakieś ważne wydarzenie. Czy znowu Prymas przysłała panią do mnie?

P. FESZEN. Nie. Tym razem przychodzę sama od siebie. Nie wątpię, że W. K. Mość spodziewał się w tych czasach mojej bytności. Od kilku dni taki obrót rzeczy wzięły, że ja przynajmniej czuję się w obowiązku ich wytłumaczenia.

KRÓL. Masz pani słuszość. Wielkie obietnice pani zupełnie mię zawiodły. Dzisiaj jestem opuszczony, a do tej chwili może nawet zdradzony przez Prymasa!

P. FESZEN. Jak najzupełniej. Prymas opuścił wczoraj Warszawę, aby stanąć na czele konfederacji, która się zawiązała przeciw W. K. Mości, i podać rękę nadciągającemu na stolicę królowi szwedzkiemu.

KRÓL. Ah, to okropne! I ja o tem dotąd nie wiedziałem!

P. FESZEN. Było to zarówno interesem twoich przeciwników jak i przyjaciół. Do tej pory wojsko W. K. Mości, wystawione przeciw Szwedom, bije się już z Karolem XII. i prawdopodobnie zostało pokonane!...

KRÓL. Ostatnia moja armia w Rzeczypospolitej.

Zesz. XIII.

P. FESZEN. Po tej klęsce nie będziesz W. K. Mość mieć ani jednego pułku w Polsce przeciw Szwedom i konfederatom...

KRÓL. Moja stolica ogołocona z wszelkiej obrony!

P. FESZEN. Trzeba będzie opuścić Warszawę...

KRÓL. Oddać ją na łup Karolowi XII!

P. FESZEN. Obronić jej nie można!

KRÓL. O zdrajcy! zdrajcy!

P. FESZEN. Niech W. K. Mość nie wyrzeka na nikogo — sam jesteś winien całemu nieszczęściu.

KRÓL. Ja?!

P. FESZEN. Czy W. K. Mość dotrzymałeś mi przysięgi?...

KRÓL. Więc to ty Aurelio?!...

P. FESZEN. Tak. Wszystko co Prymas uczynił, stało się z moją wiedzą i chęcią. Mówię ci otwarcie królu: zemściłam się!

KRÓL. Ty miałaś serce popchnąć mię w tę przepaść?!

P. FESZEN. W. K. Mość się mylisz. Nie jesteś jeszcze na dnie przepaści. Postawiłam cię tylko na jej krawędzi. Od ciebie będzie zależeć, czyli się nad nią utrzymasz. Ziemie Rzeczypospolitej są dla W. K. Mości stracone, ale pozostaje ci jeszcze Saksonia. Tam możesz znaleźć wojsko, przewyższające siły Karola XII.; ztamtąd możesz wejść w układy z malkontentami, którzy tylko w braku lepszej przyjęli protekcję króla szwedzkiego; możesz zawiązać stosunki z carem Piotrem, którego więcej niż wszystkie inne kombinacye polityczne pobudzą do wojny te gwałtowne zwycięstwa Szwedów. Tylko trzeba być królem N. Panie, trzeba być mężem, zapomnieć o roskoszach i przyjemnościach królewskiego buduaru, a przywdziać twardą zbroję rycerza, który na końcu oręża nosi swą przyszłość! Na koń, mój królu! na pole walki — a pokonasz Karola XII, i wrócisz do swej stolicy!

KRÓL. Dziwną jesteś kobietą, Aurelio! Dlaczegoż mam tracić koronę i znów ją odzyskiwać?

P. FESZEN. Dlatego, abym cię wyrwała z objęć panny Duval, a przyprowadziła do stóp pani Kozel! (Słychać strzał armatni.) Ha, już się ślało!

KRÓL. Co to jest!

(Randzau i Robert wbiegają — po chwili wchodzi pani Kozel, zatrzymując się na początku tej sceny w głębi.)

SCENA SZÓSTA.

KRÓL. P. FESZEN. RANDZAU. ROBERT. P. KOZEL.

RANDZAU. Okropna wiadomość!

ROBERT. N. Panie, w tej chwili przybył kuryer z obozu. Wojsko W. K. Mości zostało niespodzianie atakowane przez nieprzyjaciół i pobite. Szwedzi bez zwłoki wyruszyli na Warszawę i kiedy to mówię, ich forpocztę docierają już do murów miasta.

KRÓL (zakrywając twarz rękami.) Boże, co za nieszczęście!... (Chwila milczenia.)

P. KOZEL (zbliżając się do króla.) Odwagi N. Panie! Losy wojny są zmienne, dziś zwyciężony, możesz jutro być zwycięzcą.

KRÓL (patrzy chwilę w jej oczy i podaje jej rękę). Gabryelo!...

P. KOZEL. W. K. Moś żałujesz swoich błędów?

KRÓL. Przebaczenie mi moje lekkomyślność. W chwili kiedy należało jedynie pamiętać o losach kraju i korony, oddałem się nierozważnie uczuciom serca, i nie umiałem was ocenić. Ten grom, który spadł u stóp moich, przywraca mi rozum. Ale cóż teraz czynić? powiedźcie mi!

P. KOZEL. Trzeba wyjechać z Warszawy tej chwili. Miasto jest bezbronne, i na wierność mieszkańców W. K. Moś nie możesz liczyć. Spodziewałam się tego nieszczęścia. W. K. Moś masz wszystko w gotowości. Skarb i klejnoty uwieszone, na dziedzińcu zamkowym stoją zaprzężone pojazdy i eskorta dość silna do przewiezienia W. K. Mości do granic Rzeczypospolitej...

KRÓL. Gabryelo, ty jesteś moim aniołem-stróżem! Tak, do Saksonii, do Saksonii! Tam się uzbroję przeciw Karolowi XII, a potem wrócimy tutaj, aby z nim walczyć!

P. FESZEN. Powracaj W. K. Moś jak najprędzej do nas w tryumfie. Od chwili, w której staniesz za murami Warszawy, jedyną będzie moją myśl służyć twojej sprawie.

(Lebeau przyniósł królowi płaszcz i kapelusz. Król kładzie je na siebie.)

KRÓL. Podaj mi rękę Gabryelo. Odtąd pójdziemy tak wspólnie naprzeciw złej doli i wrogom!

P. KOZEL. W Bogu nadzieja, że ich zwyciężym.

(Król wychodzi prowadząc panią Kozel.)

RANDZAU. Do Saksonii? Zgoda! W Warszawie zaczynało już być nudno. (Odechodzi za królem.)

ROBERT. Biedny mój Wilhelm!... Przysłał mi ostatnie pożegnanie z pola bitwy. Nie zobaczymy się już jak na drugim świecie.

P. FESZEN (która odprowadziła wzrokiem króla i panią Kozel aż do drzwi.) Teraz mogę odetchnąć swobodniej. Pani Kozel uprowadziła z sobą króla... ale on jej nie kocha! (Przystępuje do okna.) Wsiadają do pojazdu.

(Od wyjścia króla i z początkiem sceny następnej głębią sali przebiegają żołnierze z gwardyi, lokaje z pakunkami itp. i kilka innych osób. Ruch jak przy nagłym wypadku. Wbiega Henryka, ubrana jak w akcie II. — Strój jej w nieładzie.)

SCENA OSTATNIA.

P. FESZEN. ROBERT. HENRYKA.

HENRYKA. Gdzie jest król? ratujcie go!

ROBERT. Henryka!

HENRYKA. Gdzie jest król? powiedz mi, gdzie jest król! Szwedzi już w mieście... na ulicach słyszałam krzyki: Precz z królem! śmierć Sasom!... Gdzie on jest?

ROBERT. Niestety!

HENRYKA. Co ty mówisz?! Tyś błądy! Ja chcę widzieć króla — chcę być z nim razem...

ROBERT. Nie zobaczysz go...

HENRYKA. Co?!

ROBERT. Król odjechał.

P. FESZEN (stojąc przy oknie.) Król odjeżdża. Panno Duval, czy chcesz widzieć króla raz ostatni? (Henryka zbliża się do okna.) Widzisz? siedzi w powozie z panią Kozel... odjeżdżają do Saksonii... daleko...

HENRYKA (patrzając przez chwilę, chwieje się). On mię opuścił! (pada zemdlna przy oknie. Robert zalamuje nad nią ręce. Słychać trąby i bębny Szwedów wchodzących do miasta.)

K O N I E C.

PLASKORZEŻBY NA DAWNYM ARSENALE MIEJSKIM WE LWOWIE.

Pomniki historyczne są jednym z najwymowniejszych świadectw cywilizacji narodu i znaczenia jego w dziejach ludzkości.

Chłubi się Kraków swymi zabytkami dawno przebrzmiałych wieków, gdzie też w samej istocie jakby na składzie zestawione jest niemal wszystko, cokolwiek tylko o dawnej świetności narodu polskiego i jego zamożności świadczy. Obok Krakowa, choć nie w tej liczbie, również i gród lwowski posiada jeszcze niektóre zabytki swej przeszłości. Są to wprawdzie nieokazałe, przez niedbałość samego miasta poniszczane gazy, znachodzące się tu i owdzie, które przez kilka wieków patrzyły na nieustające

burze ciągnące od wschodu na całą Polskę, a stojąc jakoby na czatach dodawały dawnym mieszkańcom Lwowa rycerskiego ducha i ożywiały ich do obrony nie tylko własnego mienia, lecz oraz i całej ojczyzny — całego chrześcijaństwa. Z upadkiem ojczyzny powiększał się też upadek miasta Lwowa; czternaście okupów wyniszczyło dawną jego zamożność, a kilkakrotne srogie oblężenia nieprzyjacielskie zniszczyły po większej części dawniejsze jego pomniki i podkopywały coraz więcej dobrobyt mieszkańców miasta.

Z tych też przyczyn mało co z dawniejszych pomników dotrwało czasów naszych, do czego przyczyniła się

nie mało własna obojętność miasta, która jak dotąd widzimy, przyspieszyła zniszczenie lub upadek niejednego historycznego zabytku. Świadkiem tego są poniewierające się dotąd na Wysokim Zamku starożytne płaskorzeźby kamienne, pochodzące z zapadłej d. 15. lipca 1828 r. dawniejszej wieży ratuszowej, i inne tym podobne zabytki.

Dziś, gdy ze wszystkich stron odzywają się głosy do skojarzenia się wszystkich narodowości, zamieszkujących obszerne ziemie dawnej Polski, konieczną potrzebą jest wzajemne pouczanie o znaczeniu tych starodawnych zabytków, oraz roztoczenie opieki nad nimi. Są one bowiem źródłem życiodawczym dla całego narodu, przypominającym dawną sławę ojczyzny i świetne czyny przodków naszych; z tej też przyczyny wiąże nas z nimi pewna pobożna cześć i serdeczne poczucie miłości ojczyzny. Te same uczucia przemawiają za ich dalszem poszanowaniem, a to tem więcej, iż jak już powyżej wyrzekłem, miasto nasze i tak mało ich posiada.

Za staraniem konserwatora zabytków starożytnych w Galicyi wschodniej, p. Mieczysława Potockiego, odnowione zostały temi dniami starodawne pomniki grodu lwowskiego, pochodzące z dawnych obronnych murów miasta. Są to trzy płyty kamienne z płaskorzeźbami, ustawione rzędem w ścianach dawnego arsenału miejskiego. Pierwsza, po prawej stronie umieszczona płyta, przedstawia herb miejski, uwieńczony owalnie laurami, gdzie w otwartej bramie stojący na tylnych łapach i ku prawej stronie zwrócony lew trzyma w przednich łapach herb sykstowski, trzy pagórki z gwiazdą u góry. Dziwi nas tylko przedstawiony tu w odmienniej postaci lew, którego zwykle ku lewej stronie zwróconego miasto w herbie swym używa.

Różnicę tę tłumaczą sobie niektórzy tem, że herb ten przedstawia nam ówczesne stanowisko i znaczenie miasta, jako jedyną twierdzę całej Rusi — gdyż zwykle herb ziemi ruskiej przedstawia lwa drapiącego się na skałę i zwróconego ku prawej stronie. Drugi powód do odmiany postaci lwa da się tem objaśnić, że miasto ułożyło pomnik ten na uwiecznienie swego żalu i niedoli, na jaką podówczas nietylko przez nieprzyjaciela lecz nawet przez własną ojczyznę było skazane. Wiadomo bowiem z historyi i pamiętników miasta Lwowa, że zniszczone wiekiem i kilkakrotnymi oblężeniami przez nieprzyjaciół mury, nakazano w roku 1673 dla większej obrony przerażonego najazdem tureckim i zajęciem Kamieńca Podolskiego całego kraju z własnych dochodów naprawiać; a gdy naprawa ta dla braku pieniędzy opieszale postępowała, począł ówczesny hetman wielki koronny, Jan Sobieski, przemocą pieniądze od mieszkańców Lwowa na restaurację murów egzekwować. W zrestaurowanych podówczas murach między furtą bosacką a arsenałem miejskim umieszczono ten pomnik, który później przy rozbieraniu murów miejskich wyjęty i

wraz z innemi w tem miejscu, gdzie go dziś widzimy, wmurowany został.

Na drugiej czyli środkowej płycie widzimy wyrzeźbiony herb czyli Orła Polskiego, z rozpostartemi skrzydłami i herbem Janiny na piersiach, rodzimym króla Jana III., który kilkakrotną porażką zaciekle na opanowanie całego świata wojsk bisurmańskich sławę europejską sobie zjednał. Ku podniesieniu i uwiecznieniu tej sławy umieścili już ówczesni astronomowie tarczę herbową Sobieskich (Janinę) w konstellacyi niebieskiej, gdzie przyświeca nam sześcioma większemi gwiazdami w tym samym porządku, jak je tu na tarczy wyrzeźbione widzimy. Nawet niektórzy heraldycy polscy, szczególnie Potocki, przypisują mityczny początek herbowi Janiny, jakoby ta tarcz z nieba spadła. Do tego podania zastosowany jest również umieszczony pod tym herbem klasycznej treści napis lapidarny w następującej osnowie:

IOANNIS III. POLONIARUM REGIS
SCUTUM COELO LAPSUM
LAPSA DEDIT LATII MURIS ANCILIA NUMA.
MOENIBUS HIS MELIUS PERGAMUM HIC
UMBO DABIT.

Co się da w następującem znaczeniu przetłumaczyć:

Jana III. króla Polskiego tarcz z nieba spadła,
Spadła dał z nieba tarczę murum latyńskim Numa;
Tym oto murem zaś lepszą da obronę tarcz niniejsza.

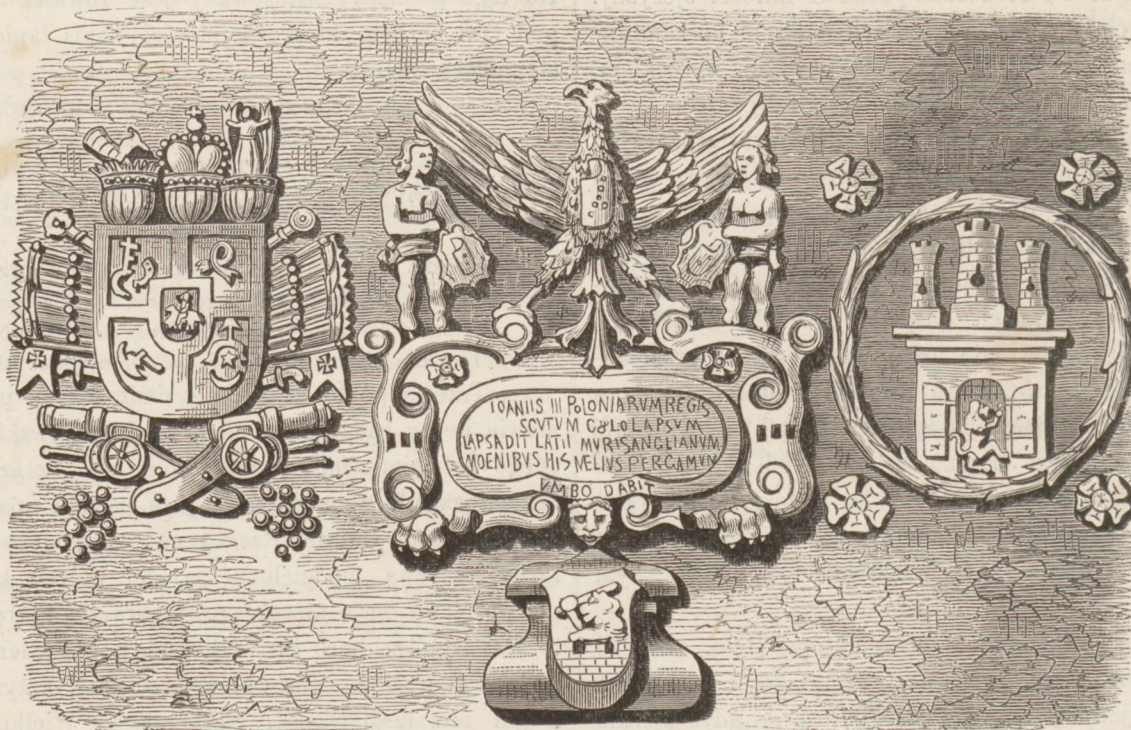
Trzecia po lewej stronie umieszczona płyta, przedstawia herby rodzinne Stanisława Jabłonowskiego; ówczesnego hetmana wielk. koron., który wraz z królem Janem III. przyczynił się wielce do podniesienia upadłych fortyfikacyi miasta Lwowa. Rzeźby na tej płycie przedstawiają tarcz herbową, podzieloną na pięć pól, z których dwa pierwsze po lewej stronie przedstawiają herby ojcowskie, to jest w górze herb Prus III. zwany, z godłem kosi i pół podkowy, ułożone półowalnie z półtora krzyżem u góry, a pod nim herb Oksza, Katarzyny z Wielkich Kłomnic Kłomnickiej, babki Stanisława Jabłonowskiego hetm. w. kor. a żony Macieja, przodka Jabłonowskich na Rusi. Syn Macieja a ojciec Stanisława, Jan Jabłonowski, miecznik w. kor., zmarły podczas sejmu w Warszawie w 1747 r., a pochowany w kościele jezuickim we Lwowie, miał za sobą Annę Ostrożankę (herbu Nałęcz), córkę Jana Ostroga, wojewody poznańskiego, i Zofii z Ostrogskich księżniczki Zasławskiej, do których odnoszą się herby po prawej stronie wyrzeźbione, t. j. wyżej herb Nałęcz, pod nim herb Ostrogski, jakoteż umieszczony we środku herb książąt Zasławskich, przedstawiający św. Jerzego, zabijającego smoka. U góry tarczy herbowej wyrzeźbione trzy godła odnoszą się po lewej stronie do herbu Prus III., po prawej do herbu Nałęcz, środkowe zaś godło, przedstawiające przyłbicę z mitrą książęcą, do herbu książąt Zasławskich.

Obadwa te pomniki umieszczone były dawniej w murze zewnętrznym czyli wałowym od wschodniej strony

miasta, po obu bokach wychodu ku wzgórzu, na którem stoi dotąd klasztor Karmelitów po za dawną furtą, bosacką zwaną. Ustawiono je w r. 1678 na pamiątkę wzmocnienia twierdzy lwowskiej i z wdzięczności miasta dla obydwóch pomienionych mężów, którzy nie szczędząc łask i starań, podnieśli te upadające mury, koniecznie potrzebne dla obrony ojczyzny. Właśnie podówczas, gdy twierdzę kamieniecką i niemal całe Podole zajął oręż turecki, miasto Lwów pozostało jeszcze jedyną twierdzą, która jakkolwiek nieprzyjaciolowi, kuszącemu się do dalszego pochodu w głąb Polski, mogła dać odpór. Lecz wycieńczone wielokrotnymi oblężeniami i okupami miasto nie było w stanie ratować się same; co widząc obadwaj ci bohaterowie, po

dla dalszego przechowania w niszy, wyłobionej po części już przedtem w ścianie arsenału miejskiego, a w której znachodził się dawniej pomnik wstawiony przez miasto dla uwiecznienia sławy generała artylerji Krzysztofa Arciszewskiego, który podczas oblężenia miasta Lwowa przez Kozaków pod dowództwem Chmielnickiego w r. 1648, mając powierzone sobie dowództwo nad załogą miejską, dzielny nieprzyjacielowi stawiał opór i miasto Lwów od zniszczenia uratował. Z tego pomnika pozostała tylko dolna podstawa z herbem Prawdzic, rodzinnym domu Arciszewskich, na której opiera się dziś środkowa płyta z herbem królewskim Jana III.

Odtąd przetrwały te pomniki i w tem miejscu kilka



Plaskorzeźby na dawnym arsenale miejskim we Lwowie.

(str. 398.)

części własnymi zasiłkami, najwięcej zaś powagą swoją i wpływem na ustawodawstwo sejmowe, przyczynili się wielce do wzmocnienia na nowo upadającej twierdzy lwowskiej. Konstytucją sejmu z dnia 17. sierpnia 1677 r. ustanowiono podatek „szelężnem“ zwany na zrestaurowanie murów miasta Lwowa.

Mury te oraz i inne częściowe fortyfikacje dotrwały aż do końca zeszłego wieku. W r. 1801, w czasie zburzenia murów od strony klasztoru karmelitańskiego, wyjęto te plaskorzeźby, i staraniem ówczesnego budowniczego rządowego i byłego jezuitę księdza Gasperego, ustawiono

burz, a mianowicie w r. 1809 i 1848. Najwięcej ucierpiał herb królewski, w którym porąbany i bez głowy orzeł polski dotrwał w tym stanie czasów naszych; niemniej zaś smarowane wapnem i pokaleczone inne pomniki czyniły je już wcale nieznacznymi. Dopiero w tym roku gorliwe chęci obywatela i konserwatora zabytków starodawnych w Galicyi wschodniej, oraz terazniejszego burmistrza miasta Lwowa, pan Szemelowski, jakoteż wprawna ręka artysty-rzeźbiarza p. Parysa Filipiego, przywróciły za wskazówką moją do pierwotnego stanu te pamiątki ojczyste.

ANTONI SCHNEIDER.



W I A T Y.

II.



LILIE WODNE.

aki spokój rozlany w naturze,
Niebo takie czyste i pogodne —
Na jeziora przejrzystym lazurze
Zakwitają blade lilje wodne;
Zakwitają i z schyloną twarzą
Za czemś tęsknią i gonią i marzą.

Sierp księżycy przegląda błyszczący
Przez nadbrzeżne sitowia i trzciny,
Łódka płynie po fali milczącej —
Na niej chłopiec patrzy w twarz dziewczyny,
A ta główkę rozmarzoną skłania
Czyniąc jemu dziwne zapytania:

„O czem marzą owe lilje smutne
Zatopione w podwójnym błękicie?
Czy jak duchy jeziora pokutne
W śnie kwiecistym nowe biorą życie,
Gdzie je znowu w jasny wieniec wplata
Idealna twórcza piękność świata?

Czy też może służyć za dyadem
Utopionej w jeziorze dziewicy?
Albo tylko są odbiciem błędem
Ludzkich tęsknot wiecznej tajemnicy,
I dla tego sen życia je pieści
Echem naszych pragnień i boleści.“

„Ty się pytasz, mój błądy aniele,
O czem marzą owe kwiaty senne?
W naszych piersiach kwitnie uczuć wiele,
A nie wiemy gdzie biegną promienne,
I związani ze ziemią łańcuchem
Nic nie wiemy, gdzie płyniemy duchem.

Wiemy tylko, że w ciągłej pogoni
Za tą marą piękności bezwzględnej
Rozsiewamy kwiaty pełne woni,
Które kwitną chwil kilka i więdną;
Ale w każdym w krótkiej trwania dobie
Zostawiamy jakąś myśl po sobie.“

„Jabym chciała — dziewczę się ozwało —
Mój sen życia powstrzymać w swym biegu,
I zakwitnąć taką lilją białą
Pełną woni na jeziora brzegu;
I nie ponieść żadnej serca straty,
Lecz tak zwiędnąć jako więdną kwiaty.

Ja się lękam w ciemną przyszłość płynąć
I utracić rajskich marzeń jasność;
Wolę raczej w chwili szczęścia zginąć
I twą miłość wziąć z sobą na własność,
I być pewną: że się nic nie zmieni
W blasku naszych wewnętrznych promieni.“

„Niech cię przyszłość najdroższa nie straszy!“
— Odparł młodzian topiąc wzrok w błękitcie—
„Myśmy naprzód już w miłości naszej
Zaczerpnęli nieśmiertelne życie,
I możemy iść dalej bezpieczni,
Że się sen nasz za światem uwieczni.

Los nas może na zawsze rozłączyć,
Wyszukiwać męczarnie najradsze,
Może w serca truciznę nam saczyć —
Tych chwil szczęścia on jednak nie zatrze!
I zostawim nad swoją mogiłą,
Co nam spójnią nieśmiertelną było.

Może także nad tonią błękitną,
Tu gdzie teraz rozmawiamy z sobą,
Takie lilje znów po nas wykwitną,
Naszych losów owiane żałobą,
I w niebiosą patrząc się pogodne
Będą o nas marzyć lilje wodne.“

EL...Y.

P O B U R Z Y.

S Z K I C P O W I E Ś C I O W Y.

PRZEZ

ELPIDONA.

(D O K O Ń C Z E N I E.)

Cóż panów sprowadza do naszego cichego ustronia?—
spytał z udaną pokorą.

— Nie tacy wy cisi, jak się wydajecie—odezwał się
naczelnik—znamy my wasze sprawki. Znasz ksiądz czytać?

Ksiądz podniósł głowę dziwiąc się pytaniu.

— Ja myślę, czy znasz po rusku czytać?

— Umieć.

— Więc czytaj sobie.

I podał mu papier. Był to ukaz carski nakazujący
zamknięcie klasztorów, a drugi papier zawierał szczegó-
łowy rozkaz gubernatora, polecający naczelnikowi wojen-
nemu natychmiastowe zamknięcie klasztoru w Olchowie
i przeniesienie zakonników do Kielc.

Gwardyan zbladł: ten cios tak niespodziewanie padł
na niego, że nie mógł zebrać zmysłów. Patrzył po star-
szyźnie osłupiałemi oczyma i głos zamarł mu w piersiach.
Kapitan bawił się tym stanem księdza i drwił:

— Nie smacznie to, prawda, porzucać taki wygodny
kącik, gdzie się miało wszystkiego podostatkiem, a teraz
trzeba pożegnać się z kuchnią i piwnicą, a może i z czem
więcej. Gdybyśmy tak dobrze szukać zaczęli, to może zna-
leźlibyśmy jaką tajemnicę klasztorną w spodnicy, co? Nie
rób takich świętych min księżu, moi ludzie plądrują teraz
po waszych kryjówkach, to się wnet przekonamy.

Ksiądz nie odpowiedział na obelgę i zwrócił się
do Brinkena, który poważny, surowy i milczący siedział
za stołem.

— I kiedyż — spytał — mamy opuścić klasztor?

— Jakto, nie czytałeś ksiądz rozkazu? Natychmiast.

— To niepodobna, potrzeba nam się przecież przygo-
tować do podróży.

— Podwoły czekają już na was, a ja powiadam, że
podobna. Cóż wy macie do zabrania? Wszak przysięgaliście
na ubóstwo. Zabierzecie wasze kaptury i brewiarze, reszta
zostanie w klasztorze dla nas.

— I sakramenta i monstrancje i kielichy zabrać musimy.

— Na to macie godzinę czasu, i to będziecie robić pod
okiem moich żołnierzy. Marsz!

Gwardyan wyszedł; dwóch żołnierzy poszło za nim
na górę. Szedł powoli chwiejącym krokiem jak na ruszto-
wanie; twarz jego zmieniła się okropnie, przerażenie malo-
wało się na niej. Nie tyle myślał w tej chwili o upadku
klasztoru, o własnem położeniu, ile o Floryanie zamknię-
tym w ciemnicy. Po ich wyjeździe klasztor zapewne stanie
się na czas jakiś siedliskiem plądrującego żołdactwa, coż
się więc stanie z Floryanem? albo wpadnie w ich ręce,
lub czeka go w kostnicy śmierć głodowa. Mnich załamał
ręce, zacisnął zęby z rozpacz. Umyślnie powoli zbierał
rzeczy i pakował, aby mieć czas namyślić się, czy nie
było jakiego sposobu ratowania Floryana; niestety, nie było

żadnego. Gdyby ukryty znał przynajmniej sposób podważania obrazu, gdyby miał żywności na dni kilka, możeby jeszcze znalazł sposobność wydostania się z klasztoru mimo straży; ale jak mu to powiedzieć, kiedy żołnierze nie odstępowali go na krok? Tracił głowę ksiądz gwardyan i niewiedział co począć. Musiał wreszcie spakować rzeczy i zniósł je do refektarza.

— Zrewidować — rzekł kapitan do jednego z żandar-mów, a do drugiego, który właśnie wchodził w tej chwili, poskoczył z pospiechem i spytał ucieszony:

— A szto jest?

— My nie naszli nikawo.

— Kapitan palnął go w twarz za tę nowinę.

— Psubraty, bo wam się szukać nie chce, zamiast jego wy może wina w lochach szukali. Pójdź, ja go znajdę.

Gwardyan wiedział, o co chodziło, nie pokazał jednak po sobie żadnego wzruszenia, spuścił oczy w ziemię i czekał. Brinken od czasu do czasu rzucał na niego z pod brwi ponure spojrzenie. Byli sam na sam.

— Czemu nie siadasz ksiądz — odezwał się szorstkim głosem naczelnik widząc, że ksiądz znużony ledwie mógł się utrzymać na nogach.

Ksiądz się pokłonił i usiadł.

— Samiście sobie winni, nie byliście kontenci z waszych klasztorów, gdzieście się paśli, buntowaliście się.

— Modliliśmy się tylko.

— Nie kłam księżu, ja tego nie lubię. A kto do mnie mierzył z za drzewa pod Kluszyńcem, hę? Zapamiętałem sobie dobrze twoją twarz, mierzyłeś jak stary strzelec, gdyby nie blacha na piersiach, nie chodziłbym już po tej świętej ziemi. Nie zapieraj się, ja nie szpieg, wydawać cię nie myślę, to nie moja rzecz.

Ksiądz spojrzał na Moskala, który pod szorstką i dziką powierzchownością krył serce prawe i dobre, duch wstąpił w niego, miał jeszcze nadzieję ocalenia Floryana.

— Panie pułkowniku — odezwał się badając pilnie oczami twarz Brinkena — pan jesteś człowiekiem honoru, mam prośbę.

Zawahał się i przestał mówić z obawy, czy odezwaniem się nie przyspieszy zguby Floryana.

— Mów — rzekł krótko Brinken i zbliżył się do niego, by nie potrzebował głośno mówić.

— Nie za sobą chcę mówić, ale tu w klasztorze ukrywa się człowiek.

— Wiem o tem, szukają go właśnie.

— Nie znajdą — rzekł ksiądz — z pewnością, ale ten człowiek zginie z głodu w kryjówce, jeżeli —

— Cicho, nie chcę o tem wiedzieć, bo wtedy musiałbym go kazać aresztować, ja sługa carski, znajesz? — zawołał, a głos jego, który przedtem nieco złagodniał, teraz znowu ztwardniał w surowy ton.

Nastąpiło ponure milczenie, wśród którego słychać było

na korytarzach gwar i łoskot i krzyki żołdactwa wypędzającego księży z cel. Wprowadzono, a raczej wciągnięto staruszkę furtyana, zgrzybiałego, wywiedłego, wyglądającego jak kościotrupek w habicie. Staruszek sześćdziesiąt lat przeżył w tym klasztorze i nie chciał go opuścić. Położył się krzyżem na ziemi i wołał dyszącym, słabym głosem:

— Pozwólcie mi tutaj umrzeć, ja się ztąd nie ruszę.

Żołdaków poruszyły jęki starca, stali koło niego zniemochomieli, zapatrzeni; Brinken odwrócił się i poszedł ku oknu, tu stał czas jakiś bębniąc marsza po ołowianej oprawie szyb.

— Panie naczelniku, zróbcie tę łaskę starcowi — prosił gwardyan, a równocześnie miał na myśli polecenie staruszkowi ocalenia Floryana.

— Nie — odrzekł Brinken, odwracając się — nie mogę. Ukaz carski brzmi „wszystkich.“

Staruszek poczołgał się na kolanach za nieugiętym wykonawcą rozkazu.

— Wstań bracie Feliksie — rzekł gwardyan z godnością podnosząc drżącego staruszkę — „Bogu tylko samemu kłaniać się będziesz i jemu cześć boską oddawać.“ Staruszek obrócił w niebo spłowiałe oczy i usiadł posłuszny przełożonemu odmawiając pacierze, a lzy ciekły mu strugą po rzeźbionej zmarszczkami twarzy. Słowa przełożonego dodały odwagi innym, mimo wzruszenia oczekiwali spokojnie swego losu.

Naraz drzwi się z trzaskiem otwarły, wpadł kapitan klnąc i rzucając się.

— I cóż? — spytał Brinken.

— Musiał uciec łotr; w klasztorze go nie ma z pewnością. Nie było dziury, gdziebym sam nie zajrzał, przepatrzyliśmy piwnice, groby, wnętrza ołtarzy, organów, kości w kostnicy przewracać kazałem, nigdzie śladu człowieka. Albo węglarz skłamał, że go widział tu wchodzącego, albo to był czart wcielony, że umknąć zdołał.

Brinken rzucił przelotne spojrzenie na gwardyana, który zachował się obojętnie podczas opowiadania kapitana. Potem wstał i poglądając na milczących mnichów rzekł:

— No, w drogę.

Teraz dopiero począł się lament; mnichy jak dzieci płakali, gdy nadeszła ostatnia chwila opuszczenia klasztoru.

— Odwagi bracia, Bóg jest wszędzie — odezwał się gwardyan uroczystym głosem — Panie naczelniku, pozwól mi zabrać sakramenta.

— Tego wam zabronić nie mogę.

Otoczeni żołnierzami wyszli księża w procesyi do kościoła, ukłękneli przed ołtarzem wielkim i modlili się łkając. Gwardyan postąpił ku Sanctissimum, włożył wjatyki w poświęconą torbę i kielich w rękę, zanucił rzewnym, tklwym głosem: „Kto się w opiekę“ — i rozpoczął pochód wśród śpiewów i odgłosu dzwonków; obok niego szli inni niosąc kielichy, monstrancje, ornaty; przodem postępował

braciszek z kadzielnicą, a drugi niósł lampę zapaloną u wielkiego ołtarza.

Żołnierze w milczeniu rozsunęli się przed tą uroczystą procesją żegnając się, starszyzna z boku w milczeniu przypatrywała się pochodowi. Podczas gdy księża sadowili się na wózkach, Brinken opieczetował drzwi kościelne i klasztorne i postawił wartę.

— Czy nie lepiejby było w środku postawić załogę — odezwał się przeznorny kapitan.

— Wszak tam nie ma nikogo.

— A czort ich znajet, może umięją czarować i robić niewidzialnymi ludzi. We wnętrzu klasztoru możnaby może podsmatrit, wysledzić ptaszka. Jabym radził.

— Nie nużno — odrzekł krótko Brinken i dał znak do pochodu.

Zawarczały bębny, zadzwoniły dzwonki, księża zanulili śpiew i pochód ruszył ku lasowi. Śpiewy coraz oddalały się i cichły wraz z głosem dzwonków, tylko bębny słyhać było jak pomrok burzy z oddali. Przed klasztorem została straż z kilkunastu żołnierzy, którzy w pobliżkiej chacie założyli sobie kwaterę. Ci mieli pilnować klasztoru, dopóki nowy rozkaz nie rozporządzi dalszemi jego losami.

Powróćmy teraz do człowieka ukrytego w klasztorze, jedyne go teraz jego mieszkańca. Po rozstaniu się z księdzem Floryan wazkim kurytarzykiem postąpił kilkanaście kroków i znalazł się w jakiejś sklepionej katakumbie, pełnej pajęczyn i kurzu, ztęchłej od wilgoci. W jednym jej kącie leżała skrzynka podłużna, która, jak się domyślał, przeznaczoną była na schowanie strzelby. Położył ją więc tam, a sam znalazłszy obok trochę słomy posłanej rzucił się znużony i spragniony spoczynku. Sen tak prędko go ogarnął, że nie miał nawet czasu zgasić świecy, która też nad spjącym spaliła się do szczytu. Spał długo snem ciężkim, twardym; po kilku godzinach przebudził się wśród ciemności, z góry tylko mdłe, nie jasne światło jak szary zmrok rozświecało nieco jego kryjówkę; przypomniał sobie, że to jest otwór, o którym wspominał gwardyan, i znowu usnął. Sen był już jednak mniej twardy i niespokojny, słyssał jakieś śpiewy, jakieś dzwonienie, które jak się domyślał, dochodziło z kościoła. Z tych śpiewów, z kości, które widział w kostnicy, po których jak po stopniach wchodził do swojej kryjówki, z doznanych wrażeń przeszłego wieczora złożył się sen dziwny, fantastyczny, gorączkowy, który go umęczył mocno. Obudził się spotniały cały i niespokojny; szukał ręką koło siebie świecy, namacał lichtarz tylko i w nim trochę zwęglanego papieru; przypomniał sobie wtedy, że nie zgasił świecy, miał jednak nadzieję, że ksiądz gwardyan nadejdzie niezadługo; oczekiwał go niecierpliwie, gdyż ciemność otaczająca go poczęła mu być nieznośną. Z pociemniałego w górze otworu wnosił, że już wieczor być musi, a ksiądz obiecał przyjść o tej porze. Napróżno jednak oczekiwał, czas włókl się nudnie, powoli,

jednostajnie; daremnie Floryan wyteżał uszy, czy nie usłyszy jakiego szelestu, zdradzającego przyjście czyjeś, nie słyszeć się nie dało, cisza panowała ponura, głęboka; czasem tylko nietoperz uderzył o ściany, musnął go w twarz miękkim skrzydłem, lub robak przesunął się po murze. Floryan częścią z głodu, częścią dla zabicia czasu i skrócenia nudnych chwil czekania wziął się do spożycia wiktuałów będących w koszyku; wyjął po omacku chleb, pieczeń i wino i pożywał. To go skrzepiło nieco, dodało mu sił i otuchy. Wstał, wyciągnął się i przeszedł niepewnym krokiem po lochu macając rękami w ciemności. Potem usiadł znowu i utonął w myślach. Wspomnienia młodszych lat słoneczne, wesołe, uśmiechnięte, przysły do niego w odwiedziny do tej ciemnicy i przesuwaly się koło niego jak panorama.

Przypomniatł sobie dom rodziców nad Wisłą, podwórko, po którym prowadził konia Kazi, gdy z matką przyjeżdżała do nich; przypomniał sobie, jak trwożliwie tuliła się do niego, gdy na chwiejącej się łódce płynęli razem; potem stanęło mu na myśli srebrne wesele ojca, na którym dostał od Kazi pierwszy kwiatek na pamiątkę, dalej wyjazd z nią do kąpiel, wycieczki w góry, pierwsze wyznanie miłości, podwieczorek pod lipami, podczas którego ojciec jej przez żart nazwał ją panią Floryanową, a ona zapłoniła się i upuściła filizankę. Wszystkie te drobnostki, które składają się na szczęście człowieka, zmartwychwstały w nim, ożyły, a wszystkie jej bluszcze wiły się koło jednej istoty, koło Kazi. Porównał owe czasy z dzisiejszą chwilą i westchnął. Kazia żoną innego; on tułacz bez dachu, chroniący się po lochach jak zwierz przed śmiercią. Poranek życia obiecywał tu tyle szczęścia, a z tych obietnic nic — nic nie ziścił. Niezadługo będzie musiał opuścić tę ziemię, którą tak kochał, za którą walczył, opuścić ją zasianą mogiłami, okutą w ciemność despoty, będzie musiał porzucić tę, z którą sądził, że się nigdy nie rozłączy. Okropnie wszystko się złożyło, pomyślał sobie, i objął w dłonie głowę pełną posępnych, gryzących myśli.

Tak przesiedział czas długi; o ile mógł się domyśleć to do rana, bo znowu środek lochu rozwidniać się począł. Przy tej odrobinie światła, oświecającego słabo kilka łokci kamiennej podłogi, przechadzał się trochę, by się rozerwać nieco. Tłumaczył sobie nieobecność gwardyana jakimś ważnem zajęciem i był pewny, że go niezadługo zobaczy wchodzącego do lochu. Ale gdy do wieczora nikt się nie pokazał, Floryan począł się już niepokoić. Napróżno usiłował usnąć, nie mógł; niepewność odganiała sen od jego powiek, czasem tylko zapadał w pół-sen, który trwał krótko, potem zrywał się, chwycił za koszyk, by się przekonać, czy gwardyan był, i za każdą razą widział zawiedzione swoje nadzieje. Do niecierpliwości i obawy przyłączył się głód, który mu się już dotkliwie czuć dawał i sprowadzał osłabienie; władze umysłowe i fizyczne tępały

w nim i omdlewały, nie mógł już zrachować czasu, który przesiedział w tym lochu, w głowie poczęło mu się mącić. Postanowił wtedy zbliżyć się do otworu, którym wszedł tutaj, i bądź co bądź wydostać się, choćby z niebezpieczeństwem dla siebie. O gwardyanie różne robił domysły, to że zachorował, że z umysłu wprowadził go tutaj, by się pozbyć kłopotu; ale brzydką myśl tę odpędzał wnet od siebie. Cóż jednak mogło być przyczyną tak długiego zapomnienia?

Tak rozumując wyciągnął rękę naprzód i macając w ciemnościach po mokrym murze, postępował powoli naprzód. Szedł tak czas jakiś, zdawało mu się jednak, że za długo idzie, że już powinien być dojść do końca kurytaryzka prowadzącego do kostnicy. Musiał więc zmylić drogę. Ta uwaga skłoniła go do powrotu. Po jakimś czasie uczuł, że kurytarz, którym szedł, obniża się, a ziemia coraz więcej przesiąkła wilgocią; musiał więc zmylić sobie drogę. Strach go ogarnął. Przypomniawszy sobie, co mu gwardyan gadał o lochach, w które nie radził się zapuszczać. Począł teraz żałować, że opuścił swoją kryjówkę, był pewny, że teraz gwardyan przyszedł tam do niego, że go może szuka. Ale czy znajdzie? Kto wie, w jakie labirynty płaczą się te podziemne nory, w których się zabłąkał. Głowę tracił, co tu począć. Naraz usłyszał jakiś łoskot koło siebie, a raczej za sobą.

— Kto tu? — zawołał.

Nikt nie odpowiadał. Powtórzył zapytanie, a gdy i tym razem nie otrzymał odpowiedzi, wrócił się w stronę, z kąd głos go doszedł. Uderzył o coś twardego, co mu zabrzęczało pod nogami, schylił się i namacał łańcuch, którego poruszenie tak go zwiódło przed chwilą. Rad był jednak, że znalazł jaki taki ślad bytności ludzkiej w tych miejscach; chciał się przekonać, do czego mógł tutaj służyć łańcuch, uklęknął więc i macał. Łańcuch był przytwierdzony do muru, drugi jego koniec miał kształt sporej, żelaznej obróży, w której... (tu zdrętwiał Floryan) namacał kość, niby piszczel nożny. Z odrazą przesunął ręką po kości w górę i przekonał się, że to był siedzący kościotrup, który potracony przez niego, rozsypał się na ziemię. Floryan cofnął się ze wstrętem, włosy zjeżyły mu się na głowie z przerażenia, jakaś straszna tajemnica klasztoru odsłoniła się przed nim; kościotrup grzechotem rozsypujących się kości przemówił do niego i skarżył mu się na straszną śmierć swoją, kto wie ile lat temu odbyła. Może to był jaki Marcin Luter, którego schowano w te podziemia, zanim wystąpił publicznie z protestem; może jaki mnich ukarany za ciężkie przewiny, może ofiara gwałtu? Któż zgadnie tajemnicę jego śmierci z garstki kosteczek, co pozostały na jej świadectwo? Rozsypujące się kości trupa zadzwoniły teraz na pogrzeb klasztoru, na jego upadek; może być, że ta sprawiedliwość daną im była po latach tyłu cichego wyczekiwania.

Zeszyt XIII.

Floryan stał nad piszczelami rozsypanymi koło kajdan i rozmyślał, jak strasznie musiało być powolne konanie tego więźnia skazanego na śmierć głodową; przypomniawszy sobie, że i jego podobna śmierć czeka, i zadrżał. Nie uważał już na nic, a począł głośno wołać o pomoc i bić pięścią o mury. Żołnierze stojący na warcie słyszeli te jęki, dobywające się w nocy z murów kościelnych, i zegnali się i mówili pacierze za dusze pokutujące w klasztorze; nie przypuszczali, by człowiek żywy tak grobowe jęki wydawał. Floryan tymczasem tracił nadzieję ocalenia się; wspomnienie powolnego konania, długich męk głodowych przejmowało go zgrozą; żałował, że nie miał strzelby ze sobą, by krótko skończyć i nie męczyć się; zerwał się wreszcie i rzucił się jak szalony naprzód, na oślep, uderzając co chwila o ściany i niskie sklepienie. Leciał tak wciąż przed siebie, aż zmęczony, omdlały natrafił na jakąś przeszkodę, która go zatrzymała. Uczuł w dotknięciu, że to było grube płótno, które przetarte w niektórych miejscach jaśniejsze przepuszczało światło. To było płótno obrazu zasłaniającego wejście do lochu; odetchnął swobodniej, wznosił dziękczynne oczy ku niebu, i oparty o ścianę odpoczywał czas jakiś.

Gdy przyszedł trochę do siebie, usiłował podważyć obraz, nadzieja ocalenia dodawała sił osłabionemu, pomimo wysilenia jednak nie mógł podważyć obrazu. Zrezykował się więc przedrzeć go i wyskoczył na kupę kości. Ujrawszy światło dzienne cieszył się niem jak dziecko, zdawało mu się, że wszystkie niebezpieczeństwa skończyły się, skoro tylko wyszedł z tego straszego lochu, który miał się w mogiłę dla niego przemienić. Zdawało mu się, że zmarł, twychwał, że się odrodził na nowo. Dopiero kiedy miał wychodzić z kostnicy, przypomniawszy sobie, na co się naraża, co go czeka, jeżeli go spostrzegą, przypomniawszy sobie niebezpieczeństwa, które mu grożą znowu; światło dzienne, którem się tak cieszył przez chwilę, stało się teraz dla niego nieprzyjacielem, który go mógł wydać. Cofnął się więc i usiadł na kościach. Był podobny w swoim położeniu do człowieka, który ostatka sił dobywa, by się dostać na szczyt góry, a gdy go dochodzi, widzi, że to nie szczyt jeszcze, że nad nim nowe piętrzą się wysokości. Pomimo dokuczliwego głodu uważał za konieczne doczekać tu do nocy, nie szło mu tyle o własne bezpieczeństwo, ale o gwardyana, którego nie chciał narażać. Począł tak kilka godzin, przypatrując się porozrzucanym piszczelom, czaszkom, i rozmyślał sobie, że i właściciele tych czaszek musieli mieć także swoje kłopoty, niebezpieczeństwa, uczucia, i to wszystko przeminęło dla nich i niczem się wydaje z wysokości grobu i śmierci. Ta refleksja dodała mu ducha; cierpienia, które przeżył i które miał jeszcze przeżyć, zmalały wobec tych czaszek tarzających się po podłodze, wobec miary wieczności, którą przyłożył do nich.

Nadszedł nareszcie pożądany zmierzch, a potem ciemność, pod której osłoną Floryan wysunął się przez cmen-

tarzyk na korytarz. Pamiętał dobrze drogę, szedł na palcach przez długie korytarze, by się nie zdradzić łoskotem, i z bijącym od radości sercem doszedł do mieszkania gwardyana. Było niezamknięte, wszedł więc i postąpił prosto do łóżka; pościel była zprzewracana, nie nakryta, na niej nie było nikogo. Namacał wreszcie stolik i na nim świecę, zapalił ją i rozglądał się. Zdziwił go nieład panujący w izbie, brak książek, krucyfiks, otwarta i pusta szafa. I tej tajemnicy nie umiał sobie wytłumaczyć, nie wiedział co to wszystko ma znaczyć.

— Może wyjechał, może jest na pacierzach... czekajmy.

I usiadł w krześle zaspakajając głód kawałkiem chleba, który znalazł w szafie.

— A może aresztowany i to z mojego powodu — pomyślał sobie po chwili i wstał niespokojny. — I cóż mu pomogę? — dodał i usiadł znowu czekając, czy czas nie wytłumaczy mu tej zagadki.

Na korytarzu zegar odbił dwunastą. Floryan wiedział z lat dziecinnych, że o tym czasie zakonnicy udają się na chór, przysunął się więc do drzwi i uchyliwszy je czekał, chcąc z rozmowy przechodzących zakonników dowiedzieć się coś o gwardyanie. Cekał tak z pół godziny, nikt się nie pokazywał, żadnego łoskotu słyhać nie było, wszystko jakby wymarło. Wziął świecę w rękę i wyszedł na korytarz; tu zobaczył, że drzwi niektórych celi były również otwarte jak u gwardyana, zajrzał w nie z nieśmiałością, wszędzie widział ten sam nieład i pustkę. Śmielszy już szedł od celi do celi, nigdzie nikogo. Zdawało mu się, że to sen, że on jeszcze nie wydostał się z lochów, że cała historia jego błędzenia i ocalenia była złudzeniem; przetarł oczy, dotykał przedmiotów, uderzył pięścią w szyby, szkło brzękło i zadźwięczało w powietrzu lecąc na dół, na ręce jego skaleczonej były ślady krwi.

— To nie sen, powtarzał sobie, ale co to być może? Czy mnie się w głowie pomieszało, czy kto czary rzucił na ten klasztor?

Wstąpił do kuchni. Kot drzemiący w popiele zerwał się za jego przyjściem i szustnął w czarny otwór komina. Floryan otworzył szafę, wyjął z niej spleśniały kompot i pieczeń. Powąchał, cuchnęło już.

— Więc już od kilku dni nie ma tu nikogo. Ale gdzież są? Przez Bóg żywy, gdzież są? — pytał głośno, niecierpliwie, i uderzył się pięścią w głowę, jakby ją chciał zmusić do myślenia, do odpowiedzi.

Błąkając się tak po pustym klasztorze, zaglądając tu i owdzie, wrócił znowu do celi gwardyana. Niebo już od wschodu lekko przecierać się i bielić poczyniło; przy tym szarym zmroku Floryan dojrzał warty moskiewskie, odpowiadające sobie nawoływaniem, i cofnął się w głąb.

Niepodobna jednak, aby żołnierze nie mieli dostrzedz, że po zamkniętym klasztorze coś chodzi i robi niepokoje, widzieli bowiem światło przechodzące z okna do okna ko-

leją, słyszeli brzęk stłuczonych szyb, ale uważali to jako dalszy ciąg wczorajszych jęków, które w murach słyszeć się dawały, i przypisywali je nieczystym potęgom. Jeden tylko między nimi Hrehory, którego dla tego, że nie wierzył w czary i duchy, Francuzem nazywali, gdy mu opowiedzieli, co w nocy działo się w klasztorze, pokręcił niedowierzająco głową, a gdy mu pokazano stłuczoną szybę, rzekł:

— Taki tam ktoś zostać musiał.

— Jaki z ciebie Francuz. Któżby tam był, jeno duchy. Ot, pasmatry coś czarnego teraz stanęło na murze.

Żołnierze spojrzeli w tę stronę. Na murze ogrodu, zarosłym mehem i chwastami, stanął w tej chwili Floryan, ujrawszy warty schował się za zielska, zsunął się po murze i chyłkiem biegł ku stawom.

— Strzelaj — zawołał Hrehory.

Żołnierz stojący na straży przeżegnał się, splunął i złożywszy się strzelił.

Zjawisko przesunęło się przez sitowia i zniknęło w lesie. Hrehory poszedł w ślad za nim.

IV.

S p o t k a n i e

Tego samego dnia bolesna scena odbywała się we wsi należącej do Henryka. Słyszeliśmy jak komisarz włościański rozpowiadał chłopom o łasce cara, jak wątpliwą udzielił im odpowiedź względem płacenia podatków; włościanie tę odpowiedź wytłumaczyli sobie najkorzystniej, tj. że za darowane im grunta ani czynszu ani podatku żadnego płacić nie będą. Jest to już w naturze chłopskiej, a nawet w każdej naturze, że niespodziewane szczęście lub dobrodziejstwo rodzi coraz większe pretensye i wymagania. Uwłaszczenie nie zadawałniało ich, chcieli darowizny zupełnej bez żadnych zobowiązań. Wieść o niepłaceniu podatków rozeszła się szybko po okolicy.

Tymczasem jednego dnia zjawili się czynownicy, spisujący wartość gruntów i szacujący je do opodatkowania. Wieśniacy zwąchawszy o co idzie, otoczyli czynowników i żądali od nich wytłumaczenia, czego chcą we wsi. A dowiedziawszy się, że tu idzie o podatki, rzucili się na nich, papiery podarli i ich samych wypędzili ze wsi. Bunt taki nie mógł pozostać bez kary, zwłaszcza, że już w kilku wsiach podobne wypadki zaszły. Brinken postanowił surowością powstrzymać szerzące się niepokoje, i z oddziałem wojska wybrał się na ukaranie winnych. Po drodze wstąpił do Henryka i zabrał go z sobą jako świadka egzekucyi. Była to polityka moskiewskiego rządu, aby w takich razach obywateli robić uczestnikami swej srogości i zniechęcać do niej lud.

Na pastwisku za wsią zwołano gromadę; chłopci domyślając się o co idzie, wyszli taborem wielkim, wyselając

przodem baby z dziećmi. Brinken ustawił wojsko pod okopiskami, a sam z kilku oficerami postąpił w środek gromady.

— Gdzie tu wójt, przysięzny? — spytał.

Wystąpiło dwóch chłopów z mosiężnymi blachami na piersiach i skłoniło się naczelnikowi.

— Wy tu zastępujecie urząd — rzekł — do was należy wykazać winnych podżegaczy.

Chłopi poskrobali się po głowach, obejrzeni się na gromadę i milczeli.

— Inaczej wy karę odbierzecie. To uparte chłopstwo — rzekł do Henryka, który stał za nim.

— Proszę wielmożnego naczelnika — odezwał się jeden z zawadyacką miną — tu nie ma chłopstwa, my jesteśmy włóścianie, tak nam pan komisarz mówił.

— A to ty buntowszczyk — zawołał Brinken przyskakując ku niemu.

Chłop nie ustąpił, spojrzał bystro w oczy naczelnikowi i ostro odpowiedział:

— Ja nie żaden buntowszczyk, ja cesarski sługa, bo cesarz nam darował grunta i podatki, my się okradać nie damy, ani zwodzić tym, co nam inaczej mówią.

Pułkownik zaperzony tem zuchwałem stawieniem się chłopu uderzył go kałakiem w twarz, aż chłop krwią splunął, ale nie ustąpił.

— Wziąć go — zawołał do żołnierzy. Ci postąpili na przód, ale chłopci zsunęli się w szereg i zasłonili winnego. Głowy ich były pokornie i nieśmiało w dół pochylone, ale w oczach dzikich nieugięty upór gotowy na wszystko.

— My pójdziemy na skargę do cara miłościwego — odezwał się jeden suchy starzec — my sobie nie damy krzywdy zrobić. W tem sprawka panów — mówił patrząc z boku na Henryka — którzy podburzają rząd na nas. Ale my wiemy, gdzie droga.

Pułkownikowi, przyzwyczajonemu do ślepego posłuszeństwa, było już za nadto tego oporu; przywołał oficera, kazał mu wojskiem otoczyć chłopów, i co dziesiątego wybierać do chłosty. Wśród wrzasku bab, lamentu i krzyku dzieci, odbywała się ta scena, żołnierze kolbami i bagnietami tłukli i popychali nieszczęśliwych. Gdy już oddzielono przeznaczonych losom, pułkownik reszcie oddalić się kazał. Nie usłuchali, nie ruszyli krokiem. Pułkownik zakomenderował: „ognia“! Padły strzały, lud z krzykiem począł uciekać do wsi, na pastwisku został jeden trup i kilku rannych, między którymi była kobieta z dzieckiem. Naczelnik posłał opatrzyć ją i odnieść do domu. Był to jedyny czyn ludzki jego tego dnia, zresztą był nieugięty, straszny. Z zimną krwią i spokojnym wzrokiem przypatrywał się katowaniu ofiar, upominał żołnierzy, by nie żalowali rąk i pałek, i sam rachował razy. Jęki i prośby chłopów nie poruszyły go i nie zmiękczyły. Stał do samego końca. Gdy się skończyła egzekucya, odwrócił się i rzekł do Henryka:

— To dzieło naszych demagogów, nowych postępów, którzy chcą odrodzić Rosyę. Tak trzeba wszędzie bez liłości tępić ich wpływy.

To rzekłszy siadł na konia i odjechał ku miastu.

Henryk uwolniony od obrzydliwego obowiązku asystowania egzekucyi, wracał czemprędzej do siebie rozdrażniony, rozstrojony tem, co widział i słyszał.

Gdy się zbliżał do zabudowań dworskich, spostrzegł jakiegoś żołnierza skradającego się pod górę i śledzącego coś w okóło. Był to Hryhor, którego poznaliśmy pod kłasztorem. Henryk nie wiele zważał na niego, będąc innemi myślami zajęty, i wszedł do dworu.

— Już? Czy już po egzekucyi? — spytała go żona wchodzącego do pokoju.

— Już, już, okropność było patrzeć.

— Biedni ludzie. Pewnie kapitan był przy tem.

— Nie, sam Brinken, to zwierz krwiożerczy, nigdy go tak strasznym nie widziałem.

— Zdawało mi się, że to nie zły człowiek.

— Nienawisć do partii Milutyńców, której przypisuje rozruchy między chłopstwem, uczyniła go potworem. Odjechał w okropnym humorze.

Pogadawszy jeszcze trochę z żoną, Henryk wziął potem książkę w rękę i wyszedł do ogrodu; chciał się rozetrwać, zatrzeć przykre wrażenie, odniesione dnia dzisiejszego. Skierował się jak zwykle ku lipowej alei. Kiedy dochodził do środka jej, ujrzał, że z drugiego końca jakiś człowiek nieznajomy idzie przeciw niemu, i również mu się bacznie przypatruje. Zdziwiła go obecność obcego człowieka w jego ogrodzie. Zbliżyli się ku sobie na odległość kilku kroków i stanęli patrząc na siebie, nic nie mówiąc; przybyły czekał na słowa, a Henryk pomieszany nie wiedział co powiedzieć.

— Nie poznajesz mnie? — odezwał się wreszcie przybyły.

— Floryan — wyszeptał cicho Henryk. Więc ty żyjesz?

— Tak, przeżyłem upadek powstania.

— To było do przewidzenia; ale ty nigdy wierzyć nie chciałeś.

— Gdyby tak wszyscy wierzyli, nie byłoby upadło; ale było wielu takich jak ty.

— Gdyby wszyscy byli takimi, nie byłoby tej ruiny, na jaką teraz patrzymy. Potraciliście ludzi, zrujnowaliście kraj, i jakaż korzyść ztąd?

— Nie mów tak Henryku, nie potępiaj tego, co się stało, bo nieludzka siła pchnęła bezbronny naród do walki. Zresztą jeżeli idzie o korzyści, masz uwłaszczenie ludu.

— Przez Moskwę — rzekł szyderczo Henryk.

— Żle że przez Moskwę, ale dobrze, że uwłaszczony; przyszła Polska zyskała tysiące obywateli.

— Wiecznieś młody i zapalony.

— Zapał tworzy cuda.

— Albo gubi naród.

— Gnusność i ospałość tylko zgubić go może. Gdyby nie młodzi, którzy co kilkanaście lat zbrojnym powstaniem wołają: jesteśmy! świat mógłby zapomnieć o nas.

— Wiele nam przyjdzie z tego pamiętania. W ciągłych zrywaniach się marnujemy siły i nigdy nie zdobędziemy się na nic. — Cóż cię tak śmieszy?

— Te słowa w twoich ustach dziwią mnie. Nie myślałem, że kiedy pojmwować będziesz życie na seryo, znałem cię innym wcale.

— Mój drogi, czas i okoliczności zmieniają ludzi. Teraz i na mnie nadeszła pora działania.

— Widziałem przed kilkoma dniami, od czego zacząłeś to działanie.

— Mój kochany, każdy ma swoje przekonania.

— Ale ty za swoje nie dałbyś życia. Ale nie czas teraz na to; chwile moje są policzone; przyszedłem rozmówić się z tobą. Co zrobiłeś z publicznymi pieniędzmi, które ci powierzyłem przed moją niby śmiercią?

— Pieniądze?

— Czterdzieście tysięcy złotych, wszak takiej sumy nie zapomina się tak łatwo.

Henryk poczerwieniał i zmieszał się.

— Te pieniądze oddałem Erazmowi, jak mi poleciłeś.

— Dawno? — spytał powoli Floryan poważnym głosem sędziego.

— Przed rokiem.

— Mówisz nieprawdę Henryku. Erazm w dwa miesiące po naszym ostatnim widzeniu się skonał na moich rękach. Henryku, to był grosz publiczny, na który składali się ludzie, którzy sobie najpierwszych potrzeb do życia odmawiali, to był wdowi grosz narodu, obłany jego krwią i potem.

— Przecież nie posądzasz mnie...

— Ja chcę tylko, byś mi powiedział, gdzie są, komuś je oddać, chcę prawdy, chcę dokumentu. Jadę teraz za granicę, gdzie będę musiał zdać sprawę z moich czynności. Jeżeli nie postawię twego imienia pod przegierz opinii, będę musiał położyć tam moje.

— Tegobyś nie mógł uczynić — odezwał się porywczo Henryk.

— To sprawa nie moja ale publiczna.

— Nie idzie mi o opinię emigracyi, bo czuję się niewinnym; ale odsłonięcie tej sprawy skompromitowałoby mnie wobec naszego rządu — potem poprawił się i rzekł: wobec moskiewskiego rządu, który nic nie wie o moim udziale w organizacyi. Wtedy co najmniej Sybir mnie czeka.

Floryan zamyślił się. Jemu szło o to, aby Henryk nie myślał, że osobista nienawiść, jakaś brzydka chęć zemsty kieruje jego krokami; bał się samego cienia posądzania o tak nieszlachetne motywy; ale nie chciał mu tego

wprost powiedzieć; starannie bowiem unikał tego wszystkiego, coby im przypomniało przeszłość, Kazimirę.

— Wszak musisz pamiętać — odezwał się po chwili — komu oddałeś te pieniądze. Wymień mi tego człowieka, a jego zamiast ciebie pozwę do publicznej odpowiedzialności.

— Zawsze i tak imię moje będzie wmieszane do procesu i wyjawione.

— Na to już nie mam lekarstwa — odrzekł Floryan stanowczo.

— Posłuchaj mnie jeszcze — mówił Henryk zatrzymując go za rękę — jakkolwiek nie mam sobie nic do wyrzucenia, jednak dla uniknienia kompromitacyi gotów jestem wypłacać wam tę sumę częściowo, ratami.

Mówiąc to rył nogą niespokojnie ziemię i nie patrzył w oczy Floryanowi. Ten spojrział z politowaniem i pogardą na stojącego przed nim Henryka, rumienił się za niego, i z boleścią przypominał sobie, że ten człowiek jest mężem Kazimiry.

— Dasz mi skrypt na to?

— Nie wierzysz słowu?

— Kto wie, co ze mną stać się może.

— Dam skrypt pod warunkiem, że nie będziecie natarczywi, że będę wypłacał, kiedy będę mógł, bo wszak nie chcesz mojej ruiny?

— Zgoda więc. Idź i pisz.

— A może wstąpisz do nas?

Floryanowi zabiło serce gwałtownie na te słowa; myśl, że zobaczy Kazimirę, że będąc blisko niej, czarowała go i oszołomiała; napróżno walczył ze sobą i pasował się, nie mógł zrzec się tego, by jej nie zobaczyć choć raz jeszcze, zanim ją utraci na zawsze. Przyjął więc zaproszenie Henryka.

— Nie idźmy tą aleją — rzekł Henryk — tam siedzi mój teść, który się boi ciebie.

— On? A to z powodu?

— Stary wierzy, że zjawienie się twoje nieszczęście sprowadza, że słowa twoje mają siłę przekleństw. Wszak to ty mu podobno powiedziałeś, gdy się zaklął, że się nie ruszy do powstania: „że będzie żałował tych słów, że będzie się chciał ruszyć, gdy już nie będzie można.“ Gdy paraliż przykuł go do krzesła, słowa twoje powtarzał co chwila. Spalenie domu przypisuje także twemu pojawieniu się, a teraz, gdy przed kilku dniami zobaczył cię przechodzącego przez pokoje, ciągle mówi: „Nieszczęście wisi nad naszym domem, widziałem Floryana.“

— Biedny starzec — rzekł Floryan z współczuciem, patrząc w stronę, gdzie siedział paralytyk.

Ominęli go i obszedłszy gazon weszli do sali jadalnej, gdzie zastali Kazimirę.

— Kaziu, mamy gościa — Floryan. Poznałaś go?

Kazimira nie była przygotowaną na te odwiedziny;

w oczach jej się zaćmiło, nogi się pod nią zachwiały, potrzebowała zebrać całą siłę, by nie zdradzić swego wzruszenia; ukloniła się w milczeniu i nie patrząc na niego prosiła siedzieć.

Floryan był blady, cała krew zbiegła mu teraz do serca, nawał myśli zamknął mu usta, usiadł i nie mówił.

Dziwne było spotkanie się tych dwojga ludzi, którzy przed tem tak blisko ze sobą byli, a teraz musieli się prawie nie znać. Dla obojga spotkanie było roskoszą i męczarnią, tak chcieliby się widzieć, przypatrzeć sobie, a nie śmieli spojrzeć na siebie. Obojga dusze drżały jak harfy poruszone, a oboje silili się na spokój i obojętną twarz. On na jej twarzy czytał zapomnienie, a ona w jego chłodzie czuła pogardę dla siebie. Rozmowa toczyła się o najobojętniejszych rzeczach i mimo to rwała się co chwila, bo dusze ich co innego mówiły sobie. Jeden tylko Henryk nie tracił przytomności w tej nienaturalnej sytuacji, w jakiej się wszyscy znajdowali, i podtrzymywał ciągle rozmowę. Tak dosiedzieli do wieczora.

— Pan długo zabawi w naszych stronach? — spytała nieśmiało Kazimira.

— Dziś jeszcze wyjeżdżam, a raczej uciekam ku granicy.

— Czy panu grozi niebezpieczeństwo?

— Polują na mnie jak na dzikiego zwierza.

— Musiałeś wiele przejść? — odezwał się Henryk.

— Dostyc — odrzekł krótko i sucho zapytany.

Kazimira spojrzała na niego i dostrzegła, że nie ma ręki; ból ścisnął jej serce. Było coś dziwnie tragicznego w tem krótkim słowie: dostyc, które za ilustrację miało twarz wynędzniałą trudami i pusty rękaw łamiący się w przykre zagięcia.

— Może opowiesz co z twoich przygód Kazimirze, ona tak lubi tego rodzaju opowiadania, ja tymczasem pójdę wygotować ci.

Floryan bał się tego sam na sam i rzekł:

— Pójdę z tobą.

— A ja pomyślę o herbacie — rzekła Kazimira. Oboje się omijali.

Henryk zadzwonił na lokaja i kazał sobie podać świecę. W tej chwili na balkonie dały się słyszeć brzęki pałaszy.

— Żandarmi! — odezwała się ściśnionym od przestachu głosem Kazimira. Rzuciła się szybko do jednego i drugiego okna rozpatrując położenie.

— Gdzie pan idziesz? — rzekła przytrzymując Floryana chcącego się rzucić w stronę ogrodu — tam już stoją.

Niebezpieczeństwo było nieuniknione, gospodarze stracili przytomność, Kazimira załamała ręce zwątpiała i przerażona. Floryan rzucał niespokojnie oczami w koło szukając środków ocalenia. Naraz zbliżył się do lokaja, kazał mu prędko zrzucić liberyę, wdział ją na siebie i wzięwszy od niego świeczniki wyszedł naprzeciw żandarmom wcho-

dzącym i poświecił im. To go ocaliło. Szukającym ani przez myśl nie przeszło, że ten, którego szukają, stoi tak blisko nich i przyświeca im, nie zwracali nawet uwagi na niego.

— U pana ukrywa się człowiek, za którym polujemy od dawna — odezwał się znany nam kapitan Pawłowicz.

— U mnie nie ma nikogo.

— To kłamstwo; wasze wystraszone twarze aż nadto mnie przekonują, że tą razą ptaszek nasz. Tak, tak panie Henryku, zapłacimy sobie porządną kontrybucyjke, a będzie z czego. Świeć! — rzekł do lokaja i poszedł do innych pokojów.

Lokaj prowadził ich wszędzie, obeszli wszystkie pokoje, zrewidowali szafy, łóżka, wszelkie kryjówki, nigdzie nie znaleziono nikogo. Henryk z Kazimirą tymczasem siedząc w jadalnym pokoju oczekiwali z trwogą, co się stanie. Kazimira złożyła ręce i modliła się po cichu. Po godzinie takiego oczekiwania lokaj ze światłem pojawił się znów we drzwiach, a za nim kapitan i kilku żandarmów.

— To diabeł nie człowiek, ani śladu. Ale to nic, pewna jest, że tu wszedł, że rozmawiał z panem w ogrodzie, nasz człowiek to widział. Pan wiesz o tem, odpowiadasz więc za niego, i jeżeli go nie wydasz, ciebie aresztuję.

— Nie potrzeba. Oto jestem, którego szukacie! — odezwał się Floryan, stawiając świecę na stole. — Kazimira jęknęła.

Kapitan spojrzał osłupiały, ogłupiały: potem palnął się w czoło.

— I ja tego nie zwąchałem! A to mi ptaszek, nie darmo tak uganiają za nim. A to mi spletał figla, i żandarmskiego kapitana na ostatniego durnia wykierował, to mi gracz. Ale ja cię gdzieś bratku widziałem.

— On nieprawdę mówi — zawołała Kazimira rzucając się naprzód — to nie jest ten, którego wy szukacie. Skłamał tak, ażeby nas ocalić. Kapitanie, ty przecież temu nie uwierzysz, to nasz sługa.

Floryan wziął ją za rękę i rzekł:

— Nie ocalisz mnie pani, a poniżasz siebie, korząc się przed tym człowiekiem. Kiedyśmy wszystko stracili, zachowajmy przynajmniej godność narodową, uszanujmy samych siebie.

To mówiąc podał rękę Kazimirze, spojrzał na nią rzewnym, głębokim wzrokiem, potem odwrócił się do kapitana i rzekł:

— Jedźmy.

Wobec tego spokojnego i dumnego zachowania się więźnia, kapitan stracił zwykły piekielny, szczypiący humor, i tak był odurzony, że nie myślał wcale sprzeciwiać się rozkazowi Floryana, gdy ten rzekł: jedźmy. Tak mu zaimponował fortel powstańca.

Dopiero w drodze przyszedł do siebie, był znowu wesoly i złośliwie dowcipny, wdał się w gawędkę z wię-

żniem, który jednak pytania jego milczeniem zbywał. Gdy przyjechali do miasta, Pawłowicz zaraportował naczelnikowi o pojmaniu więźnia. Brinken kazał go przywieźć przed siebie. Kiedy go wprowadzano do sieni, kapitan spojrzawszy przypadkiem na twarz więźnia przy świetle latarni, krzyknął ucieszony.

— Zkąd go znam? zkąd go znam? ja durny człowiek nie poznałem go; ta ty byłeś u nas w niewoli w Miechowie; Brinkena ulubieniec, tak, tak, teraz cię poznaję.

— No pułkownik będziesz mi musiał być wdzięczny — rzekł wprowadzając więźnia do kancelaryi naczelnika, a oczy jego śmiały się szyderczo, dokuczliwie — prowadzę ci twego ulubieńca, który cię tak niegodnie opuścił, a za którym pewnie stęskniłeś się.

— Któż on taki?

— Twój więzień miechowski, puszczone na słowo honoru. — mówił powoli wpatrując się w twarz pułkownika. Ten jednak był spokojny, niewzruszony, mars ponury nie ustępował z jego czoła; skinął na więźnia i kazał mu się zbliżyć do protokołu, a kapitanowi rozkazał iść przygotować więzienie dla pojmanego. Gdy zostali sami, Brinken wstał i zbliżając się do więźnia rzekł:

— Więc to ty? Pocoś tu znowu, nieszczęśliwy?

Floryan milczał smutny, ze spuszczoną głową.

— Trzebaż ci było uciekać ode mnie, gdzie ci było tak dobrze? Byłbyś tak przeczekał całe powstanie, nie narażając się, jabym ci był wyjednał wolność i przebaczenie cara. Złamałeś słowo honoru, pod którym zwolniłem cię, skompromitowałeś mnie; czy się to godziło?

— Nie chciałem być człowiekiem honoru wobec ciebie, panie pułkowniku, a podłym wobec kraju. Obowiązek nakazywał mi bić się i poszedłem.

— I coście zrobili? Na co wam te bunty? Wy moglibyście być tak szczęśliwi przy Rosyi. Żle wam było pod rządami miłościwego cara? On już był dla was tak łaskaw, kto wie coby jeszcze mógł wam dać.

— Nie dał wolności.

— Toż my się obchodzimy bez niej, i dobrze nam z tem; boć przecie car i przykaz być musi, bez tego świat by się nie utrzymał.

— Nie zrozumiemy się, panie pułkowniku, ja jestem z narodu, który wolność ukochał nad wszystko.

— Ta masz teraz tę wolność. Ty zginięsz, wiesz, bo ja cię w żaden sposób ocalić nie mogę. Kapitan mój wróg największy, a on wie, że ja cię kochałem jak syna, żem miał słabość do ciebie, i będzie się mścił przez ciebie na mnie. O ucieczce myśleć niepodobna, bo cię będzie strzegł jak oka w głowie, a dokuczał. Ja go znam. Kilka razy robił na mnie donos w Warszawie, a ja mam dzieci, żonę, i narażać się nie mogę. Ty zginięsz.

— Uspokój się pułkowniku, ja się śmierci nie lękam — odezwał się Floryan głosem spokojnej rezygnacji.

V.

Sprawiedliwość boża.

Podczas gdy Floryan siedział w więzieniu, z którego za dni kilka miano go wywieźć do cytadeli warszawskiej, zaszła jedna okoliczność, której tu pominąć nie można. Henryk odebrał z depozytu ową sumę, o którą tak długo toczył się proces. Posiadanie tej sumy uczyniło go jednym z najmajętniejszych obywateli w okolicy; to też Henryk ożywił się teraz, wzruszał, umyślił rzucić się w zyskowne przedsiębiorstwa i spekulacje. Cyfry stały się odtąd najmilszą zabawą Henryka. Sprowadził żelazną szafę z tajemniczymi zamkami i kluczami, umieścił w niej swoje papiery. Rozpatrując się w jej składzie i mechanice spostrzegł przy drzwiczkach spore wgłębienie, na którym była przyklepiona kartka z angielskim napisem: „Schowanie na rewolwer“. Dziwnem mu się wydawało to bezużyteczne chowanie rewolweru w zamkniętym miejscu, mimo to włożył tam swój mały rewolwer, czyniąc zadość, jak się wyrażał, fantazyi mechanika. Nie długo jednak miał sposobność przekonania się o praktyczności tej drobnostki. Zdarzyło się bowiem jednej nocy, że kiedy siedział w swojej kancelaryi zaczytany w ekonomii politycznej, przez otwarte okno wpadli jacyś zamaskowani ludzie, i grożąc mu wymierzonymi w pierś rewolwerami, zażądali pieniędzy. Próżno się tłumaczył, że ich nie ma; napastnicy byli widać dobrze uwiadomieni, i zażądali klucza od kasy. Wobec grożącej śmierci Henryk nie myślał wcale opierać się i podał klucz, z którym jeden, jak się zdawało dowódzca bandy, poskoczył natychmiast do szafy żelaznej. Ale napróżno męczył się i próbował, nie znając sekretu nie umiał otworzyć. Kazał więc Henrykowi, aby sam otworzył. Idąc ku szafie Henryk przypomniał sobie ze skrytą radością o schowce na rewolwer, zakręcił klucz w zamku jednym i drugim, otworzył drzwiczki i wprzód zanim napastnicy mogli się spotrzędzić, dał ognia z rewolweru. Od pierwszego strzału padł najbliższy niego stojący, powtórzył trzy razy, raz po raz strzały, padł drugi, a dwóch innych przestraszonych rzuciło się w okno i uciekło. Huk strzałów i hałas obudził żonę i służbę, przybiegli wystraszeni, przelekli, i zastali Henryka zamykającego okno.

— Co się stało? — zapytała przelekła Kazimira.

— Złoczyńcy, rabusie jacyś — rzekł pokazując na trupy — dwóch uciekło, trzeba wysłać ludzi na obławę koło ogrodu. Ja jadę natychmiast do miasta uwiadomić o tem, co tu zaszło, kapitanu żandarmów. Dopóki śledztwo nie zjedzie, zostawić wszystko tak, jak jest w tym pokoju.

To powiedziawszy kazał prędko zaprzęgać i popędził do miasta. Kapitana nie zastał w domu, wyjechał na jakąś pohulanę; udał się więc do Brinkena i uwiadomił go o całej sprawie.

— I cóż to za ludzie? — spytał naczelnik.

— Jacys zamaskowani rabusie, zostawiłem ich tak, aby komisyja nietknięte ślady miała do oględzin.

— To będą pewnie resztki z waszego powstania—rzekł Brinken pogardliwie.

Zabrał pisarza, lekarza miejskiego, paru żołnierzy, i pojechał na miejsce zaszłego wypadku. Jakież było zdziwienie jego, gdy w złoczyńcy, który padł najpierwszy, po zdjęciu maski poznał kapitana żandarmów Iwana Pawłowicza.

Kapitan dawno już miał apetyt na sumę, którą Henryk miał odebrać z depozytu, niepokoiły go te pieniądze, nie mógł tego strawić, by pieniądze, które już raz dostały się w ręce rządu, miały przechodzić do szlacheckiej kieszeni. Do tego jeszcze przypomnienie, że temu człowiekowi trzeba będzie oddać pożyczone pieniądze, popchnęło go ostatecznie do ułożenia tego łotrowskiego planu napadu, którego padł ofiarą.

Z oczyma wywróconemi, szklannemi, leżał teraz na środku pokoju; podła twarz jego w kurczowych przedśmiertnych skrzywieniach zeszpecona, wyglądała strasznie, odrażająco; sine i wąskie wargi ociekłe krwią i śliną przestały już bluźnić i szydzić. Brinken stał nad trupem z wyrazem wzdargi i odrazy.

— Otóż ci ludzie chcieli cywilizować Rosyę. Padlec — rzekł oburzony i kopnął nogą trupa.

Śmierć kapitana wpłynęła na losy naszego bohatera; Brinken pozbywszy się w ten sposób przeciwnika, który kontrolował wszystkie jego czynności, miał teraz ręce wolniejsze do działania; łotrowska śmierć donosiciela oczyściła go z podejrzeń przed starszymi. Przypomniawszy sobie wtedy Floryana i kazał go przyprowadzić przed siebie.

— Kapitan Pawłowicz zginął. Czy wiesz o tem?

— Wiem.

— Wiesz już? Więc masz któregoś z żołnierzy, który ci donosi.

Floryan chciał się tłumaczyć, pułkownik dał mu znak ręką, aby milczał.

— Nie wchodzę w to wcale, o czem innem chcę mówić. Wróg twój zginął, masz teraz sposobność ratowania się; a sam więcej ci pomóc nie mogę, nie wolno mi. Ty myśl o sobie. Jutro są imieniny carskie, żołnierze dostają dziś na noc potrójną miarę wódki, korzystaj z tego. Bądź zdrow, a nie zapomnij o starym. Ja cię lubiłem bardzo, bo ty czysta a prawa dusza.—Szorstki głos jego drzał mocno, gdy mówił te słowa, podał rękę Floryanowi i wyszedł z kancelarii wzruszony.

Tej samej nocy Floryan był już wolny; następnego dnia wieczorem zjawił się w wiosce Henryka. Ostrożnie podsunął się ku dworowi od strony ogrodu i zbliżył się do okien jadalnej sali, spodziewając się znaleźć w niej Henryka.

Nie było go tam, tylko teść jego. Stary paralytyk siedział w wielkiem poręczowym krześle żółty i sztywny jak mumia; blask płomienia z marmurowego kominka padał na jego twarz i latając po niej migotliwie robił złudzenie ruchów, o których drewniana ta twarz dawno zapomniała. Na drugim krześle tuż przy kominku siedziało małe dziecko, trzymane przez piastunkę, i bawiło się świecidełkami, które mu podawała. Starzec patrzył na dziecko i wzrok jego wyrażał zadowolenie, szczęście. Naraz szmer koło okna zwrócił oczy jego w tamtą stronę, spojrzał w ciemną przestrzeń i ujrawszy twarz Floryana, cofającą się w głąb, krzyknął tak przeraźliwie, że piastunka zerwała się na równe nogi, a widząc niespokojnie latające oczy paralytyka pobiegła po ratunek do drugiego pokoju.

A tymczasem dziecko małe, zostawione same na chwilę, wyciągało rączki do ciepłego i błyszczącego płomienia, posuwało się coraz dalej ku krawędzi i ku ogniowi. Paralytykowi na ten widok zamarły resztki głosu w piersiach, chciał ratować i nie mógł, niemoc kępowała go na krześle, chciał krzyczeć o ratunek, a przestrach sparaliżował mu głos, tylko oczami przewracał strasznie, ruchliwie, rozpacznie... a tymczasem dziecko zsuwało się coraz niżej z krzesła, wreszcie instynktem poczęło drapać się drobnymi rączkami na stołek na powrót; ale nie podołało słabemi siłami i spadło w płomienie.

Podczas tego Floryan stał już w pokoju Henryka i mówił:

— Odjeżdżam. Każda chwila jest drogą, przyszedłem do ciebie po dług.

— Wszak inny był układ.

— Tak, ale ty teraz jesteś bogaty, a tam na te pieniądze czeka mnóstwo tułaczy z rodzinami, pozbawionych chleba, bez dachu.

— Kto to wie, ileby im się z tego dostało — rzekł Henryk z dwuznacznym uśmiechem.

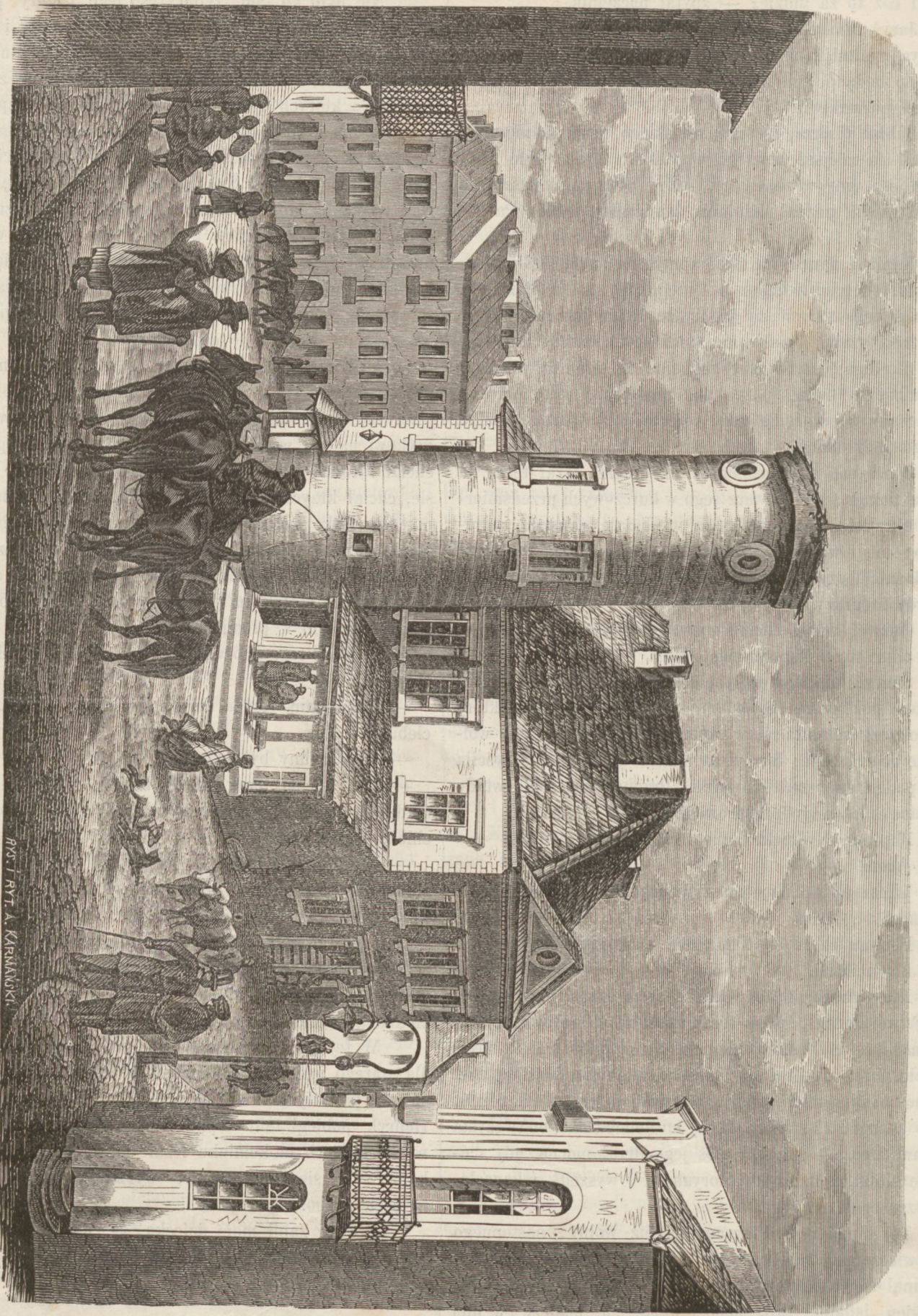
— Henryku, jesteś podły—rzekł z oburzeniem Floryan.

— Nie postawię na hańbę twego nazwiska przez wzgląd, że to nazwisko nosi żona twoja i syn twój nosić będzie, który nic nie zawinił, ale pamiętaj, że sąd boży ukarze złodzieja publicznego grosza.

W tej chwili wpadła piastunka wołając o ratunek dla starego pana, i równocześnie w odległym pokoju, gdzie siedział paralytyk, dał się słyszeć przeraźliwy krzyk dziecka. Henryk pobiegł tam. Wpadł i skamieniał z przerażenia:— w płomieniach na kominku leżało głową na dół jego dziecko. Rzucił się na ratunek, wyrwał je z płomieni, już było za późno.

— Kto mi zabił moje dziecko? — zawołał głosem strasznej rozpacz, spojrzał groźnie na starego paralytyka.

Starzec nie słyszał już pytania — nie żył.



WIEŻA TRYBUNALSKA W PIOTRKOWIE.

(str. 413.)

rys. J. Ryty A. Karnański.

W kilka miesięcy potem Floryan, bawiący w Paryżu otrzymał z kraju list z czarną pieczęcią, pismo było kobiece. Rozwinął i przeczytał te słowa:

„Żona zmarłego zwraca zaciągniętą przez niego po-

życzkę i prosi o przebaczenie dla jego popiołów.“

W liście załączony był weksel na 40.000 złp.; u spodu stał podpis: Kazimira.

K O N I E C.

Piotrków.

Piotrków, niegdyś miasto powiatowe gubernii warszawskiej, a od r. 1867, t. j. od wcielenia królestwa kongresowego w skład prowincyi rosyjskich, stolica gubernii piotrkowskiej, leży nad rzeczką Strawą w dawniejszem województwie sieradzkim, w Wielkopolsce. Obecnie składa się Piotrków z 599 domów w większej części drewnianych, w których zamieszkuje około 9960 ludności.

Niegdyś miał Piotrków oprócz fary, założonej w r. 1300, jeszcze kościoły i klasztory Dominikanów i Dominikanek, Bernardynów, Franciszkanów, Jezuitów i Pijarów. Już Kazimierz W. owarował Piotrków murem wysokim i wzmocnił zamkiem obronnym, który Zygmunt I. przebudował i rozszerzył. Jaśniało też to miasto dworami wielu panów polskich, pomiędzy którymi miał być najwspanialszym dom Piotra Tomickiego, kanclerza koronnego. Za miastem wznosił się pałac myśliwski królów, Bugajem zwany, z drzewa wprawdzie, ale bardzo ozdobnie zbudowany. Obecnie wszystkie te gmachy, świadczące o dawnej świetności Piotrkowa, rozsypały się w gruzy i zaledwie tylko szczątki fundamentów wskazują miejsca, gdzie one niegdyś stały.

Ze wszystkich zabytków starodawnych Piotrkowa, wyjąwszy kościoły, dotrwał do dni naszych tylko ratusz, który nasza rycina przedstawia. Odarty on wprawdzie ze wszystkich pamiątek wewnątrz, któreby świadczyły o jego niegdyś przeznaczeniu, ale dzieje przypominają, czem był ów ratusz i czem niegdyś służył w dawnej Polsce Piotrków.

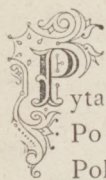
Jak innym grodom naszym wzrastała sława albo z warowności, z wytrzymanych dzielnie oblężeń i odniesionych pod ich murami zwycięstw, albo też z rozległych stosunków handlowych i kwitnącego przemysłu, tak przeciwnie Piotrków od czasów dawnych słynął sejmami, i ztąd dla odróżnienia go od innego na Kujawach Piotrkowa, zwano go z dawna Piotrkowem sejmowym. Od czasu jak u nas za Jagiellonów zaczęły sejmy wchodzić w zwyczaj, bywał Piotrków najczęściej obierany za miejsce zjazdów i obrad sejmowych. Często też bawili w Piotrkowie Jagiellonowie i załatwiali tutaj najważniejsze sprawy Królestwa. Tu Kazimierz Jagiellończyk na sejmie rozpoczętym w d. 24 czerwca 1453 po wielu umowach, stosownie do przyrzeczenia danego w Sieradzu, wykonał przed kardynałem Oleśnickim przysięgę zachowania swobód korony. Tu w r. 1467 zaprzysiężono traktat zawarty z Krzyżakami w Toruniu w roku przeszłym. Tu w r. 1469 podczas od-

bywającego się sejmu ofiarowało poselstwo czeskie koronę najstarszemu z synów Kazimierza Jagiellończyka, Władysławowi, a Henryk de Plauen, wielki mistrz zakonu Krzyżaków, wykonał przysięgę lenności i stosownie do warunków traktatu toruńskiego zajął po raz pierwszy miejsce w obradach przy tronie królewskim. Następca Henryka Plauen, Henryk Ritterberg, także na sejmie w Piotrkowie w r. 1470 hołd królowi składał. Tu za Jana Olbrachta w styczniu r. 1501 zawarto pięcioletni pokój z Turkami i przymierze z chanem zawołańskich Tatarów. W Piotrkowie odbyły się elekcyje królów Kazimierza Jagiellończyka, Olbrachta, Aleksandra III, Zygmunta I i dnia 18 grudnia r. 1529 ostatniego potomka królewskiego Jagiellonów, małoletniego syna Zygmunta I, Zygmunta Augusta, Piotrków też był miejscem sejmów odbytych w latach 1548 i 1550, pamiętnych sprawą toczoną o małżeństwo Zygmunta Augusta i o koronację małżonki jego Bar. Radziwiłłówniej. W r. 1567 odprawił się ostatni sejm w Piotrkowie, w r. 1559 uchwalono bowiem w Lublinie, że odtąd w Warszawie wspólne sejmy tak dla Litwy jak dla korony odbywać się mają.

Tak przestał być Piotrków miastem sejmowym, ale przeznaczonem mu było nie stracić nigdy cechy miejsca głośnych zjazdów, przybytku wolnych obrad. Odbywały się tutaj bowiem najczęściej sobory i synody duchowne, tak katolików jak i innowierców, jak np. w r. 1577 sobór pod przewodnictwem nuncjusza papieskiego, biskupa *Montis regalis*, na którym ogłoszono ustawy powszechnego soboru trydenckiego, a w r. 1566 głośny synod innowierców, na którym próbowano daremnie pogodzić wszystkie wyznania reformowane. Od czasu zaś, kiedy Stefan Batory ustanowił sądy trybunalskie, został Piotrków wraz z Lublinem rezydencją najwyższego trybunału koronnego, i dawny przydomek sejmowy zamienił na nowszy trybunalski, który także i ratusz piotrkowski, jako miejsce, gdzie na sądy zasiadali sędziowie trybunału, otrzymał. Od r. 1578 zjeżdżali tedy deputaci trybunalscy corocznie dnia 1szego września na sądy do Piotrkowa i odbywali je w ratuszu tamtejszym codziennie, wyjąwszy dnie świąteczne, aż do niedzieli kwietnej, poczem przenosił się trybunał aż do Lublina. Podczas kadencji trybunalskiej odbywał się niezmiernie Piotrków, a sale sądowe jego ratusza przepełniały się mnóstwem szlachty, która zjeżdżała forytować tutaj swoje sprawy.

L. T.

NAD SERCA OTCHŁANIA.



Pytasz blada, gdzie prowadzę panią?
Po nad serca mego otchłania; —
Pokażę ci myśli moich morze.

W dniach spokoju, gdy świtały zorze,
Młoda dusza, białym żaglem strojna,
Uśmiechnięta płynęła, spokojna
Po tem morzu w niebo zapatrzona.

Lecz dziś niebios sklepienia się chmurzą,
Dzisiaj boleść rozszalała burzą,
I pioruny w głębi mego łona;
I ma dusza, jak statek strzaskany,
W pół rozdarta po bałwanach skacze,
Łzami śmieje się — i śmiechem płacze,
I modli się i klunie na przemiany.

I gdy wszystko wre we mnie i kłębi,
Pieśni, które po głębinach spały,
Burza zrywa, jak kwiaty ze skały,
I na brzegi ust wyrzuca z głębi.
Patrz! jak ku nam rozpacznie się garną,
Przez bałwanów mętnych przepaść czarną
Płyną zmięte i podarte w szmaty
Pieśni moje — to są burzy kwiaty.

Ty na brzegu stoisz i w otchłanie
W burzę patrząc mówisz: jak to ładnie!
Słuchasz pieśni; lecz jeżeli na nie
Ani jedna łezka twa nie padnie,
To ci powiem, że tam w morzu, na dnie,
Są ślimaki o krwi zimnej, białej,
Które także jak ty nie płakały.

Chmurzysz czoło i zacinasz wargi?
Daruj piękna, obrazić nie chciałem;
Nie usłyszysz z ust mych więcej skargi.
Zostań sobie ty posągiem białym,
Który nie zna łez, ni serca bicia,
Ale gniewnie nie odwracaj twarzy;
Pozwól patrzeć tak do końca życia,
A dusza się nigdy nie poskarzy,
Że ta burza, co mi piersi krwawi
I po serca tłucze się otchłani,
Że jęk pieśni moich ciebie bawi.
Bądź jak jesteś; lecz bądź przy mnie pani,
Bo ja ciebie... tu choć chęć najszczerza,
Daruj pani, nie dokończę wiersza —
Chyba wtedy, gdy mi powie skrycie
Pigmalion, jak głazom dać życie

M. B.

K R O N I K A.

Z kraju.

Wiem to bardzo dobrze, iż pod waszą pocziwą Strzechą o polityce mówić się nie godzi; winszuję wam nawet tego przywileju, iż się nią bałamucić nie potrzebujecie. Wszakże jest ona w takim związku z całym życiem narodu, iż oddziaływała na literaturę i zabarwiała ją nie zawsze szczęśliwie. Winniście wrzeczomiej swobodzie waszej, iż głupie historye o Barbarze Ubryk rozchodzą się po niemiecku i po polsku; że wolno jest bałamutnem Światłem zagrobowem ludziom głowy zawracać i kieszenie wyciskać, że największe niedorzeczności drukują się na cierpliwej bibule... i polykają przez dobroduszných czytelników.

Niechże nam wolno będzie z tego powodu słowo rzec o obowiązkach pracy poważnej i sumiennej, która powinna stać na straży zdrowego rozsądku narodu, karcić spekulacje niepocziwe, wyzyskujące dobrą wiarę łatwowiernych, i ostrzegać o

niebezpieczeństwie. Jesteśmy za najzupełniejszą swobodą druku, który w samym sobie zawiera antidotum przeciwko truciznom, jakie z niego niesumieni ni tworzą ludzie; ale jeszcze raz powtarzamy, gdzie dana jest swoboda, tam obowiązki uczciwej prasy są olbrzymie. Ona wówczas odpowiedzialną jest, jeżeli dopuszcza szarlataneryi, fanatyzmowi i błędzie działać na umysły... Nie trudniejszego nad użycie swobody; niem się mierzy narodu dojrzałość, jego sumienie, rozum i uczucie. Gdzie zdano czuwanie nad moralnością publiczną samemu ogółowi, tam się on też nie pomału zając nią powinien. Mam nadzieję, że tej powinności galicyjskie dopełni dziennikarstwo wobec takich szarlataneryi, jak Światło zagrobowe, i takich spekulacyi, jak historye Barbary Ubryk.

W Warszawie, gdzie nie wolno napisać „przodkowie nasi“, gdyż cenzura utrzymuje, że Polska powinna o przodkach zapomnieć, i że dziś obrusiona już ich nie ma, pozwalają wydawać jakiemuś spekulantowi ową historię ubrykowską

tłumaczoną z niemieckiego! Czytaliśmy jedną z tych elukubracy nad wyraz nedorzeczných, bez serca, bez najmniejszej podstawy... ten co ją wydał, sam się z niej śmieje, bo wie komu i ile za skomponowanie jej zapłacił — ale trzy czy cztery wydania rozeszły się po wioskach, kramarze je roznieśli, i pieniądze do kieszeni schowany.

Niech Bóg uchowa naszą literaturę od demoralizacyi tych, co ją mają w rękach. Księgarstwo uczciwe winno samo surowem być przeciw nadużyciom nikczemnych takich spekulacyi.

Wdowa po świętej pamięci Syrokomli zgłasza się do nas znowu, prosząc o radę i obronę przeciwko rabunkowi. Znajdujemy tylko jedną. Oto należy utworzyć komitet z kilku ludzi i zająć się wydaniem wszystkich pism Syrokomli na korzyść dzieci jego, a wydanie p. Jagielskiego wywołać z handlu jako towar nieprawnie w obieg puszczony. Wszystkich ludzi dobrej woli wzywamy do pomocy i współdziałania. Przysługuje nam prawo do inicjatywy tej jako przyjacielowi nieboszczyka, którego on zegnał ostatniem słowem na łożu śmierci, jako wezwanemu przez matkę jego dzieci, wreszcie jako obrońcy własności sierocy, której stróżem każdy z nas być obowiązany.

W Poznaniu wydał p. J. Chociszewski, znany już ze swych prac dla ludu i młodzieży, dzieje narodu polskiego z mnogimi obrazkami. Zaleca się to dziełko przystępnością swoją, zrozumieniem potrzeby tych, dla których jest pisane, treściwością, która mu nie odejmuje życia, a na ostatek raz pierwszy u nas oryginalnie pojętą ilustracją. Na nią szczególnież zwrócimy tu uwagę, gdyż odpowiada myśli dawno przez nas powziętej i rzuconej, wydania dziejów ilustrowanych nie kompozycjami ale pomnikami. Pierwszy to raz w ilustrowanej książeczce tego rodzaju znaleźć można urny starosławiańskie, Światowida, pomnik Mieczysława i Bolesława poznański, kielich patenę Dąbrówki, św. Wojciecha ze starożytnego obrazu, kielich jego, wizerunki herbów, bander, strojów itp. Jakkolwiek w książeczce dla ludu przeznaczonej ani wymagać można artystycznych obrazków i odbicia ich zbytowego, te próby ilustracyi są stosunkowo do ceny i celu książki wcale dobre, a u nas inaugurują pożądaną ilustrację historyczną, pomnikową, którą ktoś w dziele szerszych rozmiarów podjąć powinien i wykonać. Czesi oddawna w ten sposób mają historię popularną swojego kraju. Portrety i sceny mniej daleko są wymowne nad pomniki epok i autentyczne wizerunki pozostałych z nich zabytków.

Czemużbyśmy kiedy nie mieli się zebrać na starożytności ilustrowane... na kronikę, coby objęła ikonografię naszą?

Obraz Matejki, którego fotografie zwłaszcza mniejsze krążą już po kraju, obudza wszędzie zajęcie najwyższe, ale niestety — z tego ciemnego odbicia wielkiej karty dziejowej, która tylko większe obudza pragnienie widzenia oryginału, nie wiele o nim sądzić możemy. Ogół jest pełen życia i dramatyczności, szczegóły giną we mrokach.

Jeżeli się nie mylimy, jeden z naszych malarzów pełnych nadziei, p. Brandt z Warszawy, na teraźniejszej wystawie monachijskiej otrzymał medal złoty. Od czasu do czasu, o ile środki pozwolą, Strzecha powinaby nam dawać choć zarysy celniejszych dzieł szkoły polskiej. Mówimy szkoły, gdyż spr-

wozdawca wystawy paryskiej 1867 r. w „Revue des deux mondes“ przyznał nam do tego miana zaszczytne prawo. Między innemi i odlew kompozyci Lenartowicza znajduje się w Monachium, i piękne akwarelle Kossaka.

Później może dać wam będziemy mogli bardziej wyczerpującą wiadomość o dziełach sztuki naszych artystów, które mieści w tej chwili monachijski pałac kryształowy. Wszyscy przyznają, iż wystawa ta niezmiernie jest bogatą i nauczającą. Słyszeliśmy, że i wasz artysta, p. Fr. Tępa, miał się tam w tych czasach znajdować.

Nowych broszur różnej wartości mamy podostatkiem, ale ksiąg nowych niewiele. Godne wspomnienia są „Obchody weselne“ Pruskiego, których część pierwsza wyszła w Krakowie. Jest to troskliwie wykonane studjum etnograficzne nad obrzędami ludowemi w dawnej Polsce. Autor starannie zebrał piosnki, zwyczaje, opisuje stroje, rysuje korowaje, daje nutę melodyi, słowem wyczerpująco obrabia swój przedmiot i opiera się nie tylko na własnych spostrzeżeniach, ale na całej literaturze jego, wielce rozpięchłej w mnóstwie rozprawek i pism peryodycznych.

Drugą nowością jest herbarz Kapicy Milewskiego z biblioteki sieniawskiej świeżo wydany, odznaczający się tem, że mnóstwo rodzin nieznanych, drobnych, ubogich daje zajmujące dla dziejów prowincyi rodowody. Wszystkie te notaty zostały z akt oryginalnych wyczerpnięte. Jestto dopełnienie niezbędne wszystkich herbarzów naszych. Przy najdemokratyczniejszych usposobieniach niepodobna z historii wymazać szlachtę, która w niej tyle ważną, często tak smutną, ale godną zawsze pamięci rolę odgrywała.

Kadną i ciekawą także książeczką przysłużyła się księgarnia lwowska pp. Sayfertha i Czajkowskiego, wydając L. Tatomira: Przegląd najnowszych podróży i odkryć etnograficznych. Przyda się on starym i młodym. Kalendarze jak pierwiosnki z pod śnieżnej skorupy bardzo zawczasu główki wystawiać zaczęły; mamy już ich kilka, a wkrótce mieć będziemy mnóstwo. Niemieckie także wyrastają jak grzyby. Rok był tak zimny, tak słotny, że we wrześniu już zwłaszcza na kalendarz wejrzawszy czuć zimę nadchodzącą. Na okładkach książek, które się nie chcą zestarzeć, widać już także r. 1870! A iluż z nas go nie dożyje... Kilka nekrologów opóźnionych tę smutną myśl nam poddaje...

Znikł prawie niepostrzeżenie Trentowski, tak że pisma nasze nie rychło wiadomość o zgonie jego podały. Z Litwy przychodzi wieść o zgonie Gabryeli z Güntherów Puzyninej, milej gwiazdki mrocznego nieba tamtejszego. W tych czasach niedoli i niewoli, czyż płakać mamy nad tymi, co spracowani idą odpocząć? Im lepiej! Ci co ciężki plug ciągną po zamarzłej roli... litości godni—bo niebo chmurne, wiatr smaga ostry, i mroki padają szeroko na osmutniałe padoly.

J. I. KRASZEWSKI.

„Unia“ Matejki. Przez cztery tygodnie przeszło odbywał Lwów pielgrzymkę do najświeższego, najznakomitszego, choć jeszcze nie najsłynniejszego utworu zwycięcy na polu Marsowem z 1867 r. Św. Jur odmówił wystawienia obrazu w sali Domu narod., nie śmiejąc wypowiedzieć właściwej przyczyny tej odmowy; jedna

już tylko sala w Zakładzie Ossolińskich była wolną, i choć to daleko od głównych arterii miasta, tam go umieszczono. Mimo siekącego nieubłagania „kapuśniaczku“ jesiennego, zebrała się była w dzień otwarcia wystawy gromada ziomków na korytarzu Zakładu, i kiedy już roztwarto drzwi, gromada, co się właśnie niecierpliwiła, weszła poważnie do sali, jak do świątyni. Cisza panowała w okół; cicho stanął w przy-mroczonym kącie sam mistrz, nikomu prawie z twarzy tu nieznany; zaledwo tu i owdzie lekki szept, jakby gorętsze westchnienie modlącego się, przelatywał, oczy i dusze tonęły w obrazie. I odtąd mimo najfatalniejszej niepogody, to znowu mimo czaru „babskiego lata“, który nęcił do ostatnich przechadzek, ludność Lwowa z niemniejszym zapalem jak na sypanie kopca, pielgrzymowała do sali Zakładu Ossolińskich.

Obraz ten już przed przybyciem miał swoją historię we Lwowie. Któż nie pamięta uniesienia, kiedy Libelt z balkonu hotelu Europejskiego zapowiedział nam przybycie braci Wielkopolan do Lwowa na obchód Unii lubelskiej! Któż nie pomni złotych marzeń, w jaki sposób obchód ten święcić będziemy, jak to z Słowiańszczyzny, z Węgier, Niemiec, Francji, Anglii wojownicy sprawy narodowości, przodownicy wieku przyrzekali przybyć na obchód złotego wesela Polski! Otóż i „Unia“ Matejki miała przybyć — na dniu 11. sierpnia miało być odsłonięte dzieło, podjęte przez mistrza, zanim jeszcze historycy nasi i politycy przypomnieli sobie, jaka to nadchodzi dla nas rocznica. Rozwiała te marzenia ręka ludzi, posiadających władzę fizyczną, ale nie pojmujących ani czasu, ani własnej swojej korzyści—główna jednak rzecz dopięta. Wypowiedzieliśmy wobec braci i świata naszą wiarę polską, odnowiliśmy akt wesela, sypiemy kopiec — w końcu przybyła i „Unia“. I mamy nadzieję, że tak się z czasem spełnią wszystkie nasze pragnienia; władcy będą nam przeciwni, ale przeszkodzić w gruncie nie zdołają, tylko sami pozbawią się korzyści, jakiego im była zjednała dobra wola.

W „Unii“ już na pierwszy rzut oka uderza przepych, blask, urok barw, kolorytu, posunięte do najwyższej artystycznej harmonii — tylko odsunąć głębiej tło, a mielibyśmy dzieło kolorytu, któremu chyba równe, ale nie wyższe znajdziesz w pomnikach starych szkół włoskich. Dla malarza jest tu nieocenione studium, jak w różnych odcieniach i kompozycjach barwy tęczy w całej świetności idą to obok, to naprzeciw siebie, to samoistnie, to jako pendant, zachwycając oko, i nie mącąc, ale uwydatniając myśl obrazu. Wdzięczny byłby rozbiór tej strony obrazu, ale może być przedmiotem tylko pisma fachowego.

Co się tyczy układu grup i osób, przykłaśnięto powszechnie, że w ostatnim utworze Matejko już uniknął natłoku, mieszającego całość, odejmującego scenie przedstawionej powietrze, przez który to natłok w poprzednich utworach ruch dramatyczny zamieniał się w szereg obok siebie, jakby powiesciowo ustawionych figur i wrażeń. Ale i przy „Unii“ trzeba pamiętać, że jest to utwór, przeznaczony do wielkiej sali, w znacznym oddaleniu od widza i wysoko nad poziomem jego wzroku. Niepodobna było w sali Zakładu Ossolińskich pomieścić „Unię“ w potrzebnej wysokości, ale przynajmniej oddalenie odpowiadało założeniu artysty, jeżeli widz stanął tuż przy

drzwiach, w zasłoniętej framudze pierwszego okna. Ztamtąd dopiero grupowały się należycie osoby, układała się perspektywa, gubi się dysproporcja między drobnymi prawie figurami grup najwyższych w tle, a ogromnemi na pierwszym i drugim planie obrazu. Dla doskonałości trzeba było i tu dać więcej przestrzeni, prostem posunięciem ścian komnaty w głąb, a wtedy znalazłoby się było jeszcze miejsce dla całego tłumu izby poselskiej, i dla pomnożenia członków senatu, co niezawodnie byłoby wyszło na korzyść obrazu. Utrzymują, że błędy w perspektywie utworów Matejki pochodzą z słabości jego wzroku, której nie zaradzi sztuka optyków. Może tak jest; ale jeżeli tak jest, to artysta dokazuje cudów w pokonaniu nieublaganej przyrody, bo jak już wspominałem, perspektywa w tym utworze jest niezrównanie lepsza, niż w dawnych, a mianowicie w „Protestacyi sejmowej“, która przecież imię Matejki a zarazem sławę jego ojczyzny rozniosła po całym świecie, na głowę pobila dumę i zawiść Moskali. Matejko stanął już na wyżynach nieśmiertelności, tak na kartach dziejów Polski jak i na kartach sztuki w ogóle.

Niezrównany jest Matejko w charakteryzowaniu. Postacie noszą wprawdzie tylko nazwy i rysy swoje historyczne. Skrzywdzeni zostali Firlej i Padniewski, bo lepszymi byli w rzeczywistości, niż na tem płótnie — ale nawet między zaledwie nacięowanymi postaciami tła nie znajdziesz figury, twarzy jakiej, z której mistrz albo widz nie mogliby sobie zdać sprawy. Minął się też artysta z rzeczywistością, jaka zawsze cechuje podobne wzniosłe chwile tak w życiu prywatnem jak i publicznem. Lży płyną, ruchy bywają pełne uniesienia, nawet ekscentryczne, nieznani ściskają się, wrogowie podają sobie dłonie. Duch boży jednym tchnieniem maże, iż tak powiemy, wszelkie prywatne passywa. Inaczej tu postąpił Matejko: powaga i namaszczenie, wiara pragnących a rezygnacya upornych, oto wyraz obrazu. Żywy w całym znaczeniu ruch tylko jest w postaci włóścianina, właśnie co nobilitowanego. Ale trudno o to sprzeczać się z artystą. Działał on według własnego natchnienia i sił swoich, a może zrażony krytyką „Protestacyi“, w której zarzucano mu ruchy zbyt namiętne. Ale pojęcie swoje przeprowadził doskonale.

Nie na tronie siedzi Zygmunt August, bo już on od podpisania Unii lubelskiej nie monarcha absolutny, dziedziczny (na Litwie), ale pierwszy urzędnik nowego państwa. Dzierży on wysoko krucyfiks. Ciemny strój jego i wyraz rzewny, znużony, czy walką ogromną, czy przeczcuciem, wypowiedzianem już przez Skargę? Biskup krakowski odczytuje rotę przysięgi, a prymas w bieli otworzył ewangelię (właśnie na dzień Zmartwychwstania), na którą przysięga reprezentant Korony Zborowski, a za nim ukłękli reprezentanci Litwy i Rusi, Radziwiłł i Mielecki. Podnosi się do przysięgi ciemny starzec, biskup wileński, wspierany przez Jana Łaskiego, a za nimi zgrzybiały Ostrogski wskazuje swemu pacholęcemu potomkowi na ten akt, dając tem niejako wskazówkę całej przyszłej Rusi. Kardynał Hozjusz szle podniesionemi rękami swoje błogosławieństwo, a uparty prawosławny Chodkiewicz, który ostatni podpisał, kłęczy zgięty i zadumany. I Wollowicz, niejako typ pogrzebanej, pogańskiej Litwy, gdzieś daleko puścił swoje myśli, czy w przyszłość? Na jednym końcu powyżej Kromera i Tarnow-

skiego podnosi dwa palce Albrecht książę pruski, a na przeciwnym znakomity mędrzec Frycz Modrzewski wprowadza włościanina. Rycerstwo prowadzi pod sztandarami w żelaznej zbroi Sanguszko i Wiśniowiecki. Na prawo od widza Anna Jagiellonka wstała jakoby także do przysięgi, koło niej i za nią fraucymer królewski.

Oto główny rys obrazu, na którym występuje 35 postaci pierwszo- i drugo-rzędnych. Wrażenie obrazu nie porywa, ale wpajając się coraz głębiej w pamięć widza, pobudza do poważnych myśli, prawie do rzewności. I może słusznie zrobił artysta, że nie przedstawił sceny pełnej zapалу i uniesienia najwyższego, bo między d. 11. sierpnia a nami stoi okropnie rżący rok 1772, stoi u artysty „Protestacya” z całą towarzyszącą jej szkaradą. Nie luźnie tworzy Matejko, co i jak mu wpadnie do głowy, ale z namysłem, w związku. Na zegarze, który widać w głębi, stały skazówki na południu, bo aktem Unii lubelskiej spełniły się, skryształizowały losy Polski. Ale ewangelia otwarta na dniu Zmartwychwstania — malarz stał się wieszczem.

Bodaj się spełniła jak najrychlej wróżba! I bodaj się spełniło życzenie kraju, ażeby „Unia” zachowaną została u nas, aby mianowicie ze ścian parlamentu naszego była posłom i narodom wzniosłem upomnieniem. Obyśmy następnie jak najrychlej ten obraz z całą należną wystawnością przewieźć mogli do Lublina.

P. K.

Ze świata.

(Miłośnicy muzyki pomiędzy zwierzętami.) W Mnichowie wyszło świeżo wielce zajmujące dzieło niemieckiego naturalisty R. Radau'a: „Nauka o głosie” (Die Lehre vom Schalle), z którego pozwolimy sobie przytoczyć następujący ciekawy ustęp:

„Bardzo wiele zwierząt podlega także wpływowi muzyki; a chociaż nie wszystko jest prawdą, co w tym względzie opowiadają, można przecież przytoczyć na dowód niejedno autentyczne spostrzeżenie. Pominąwszy ptaki śpiewające, które stanowią prawdziwy chór muzykantów, znajduje się w królestwie zwierząt wielu jeszcze miłośników muzyki. Z jakąż łatwością uczy się koń stosować ruchy swoje do taktów melodyi! Pewien pisarz starożytny opowiada, że Sybaryci utrzymywali osobnych flecistów na to, ażeby uczyli tańczyć ich konie. Jeden z takich nauczycieli pogniwał się z swoim panem, dezertował do Krotontiatów i podburzył ich do wojny z Sybarytami, przyrzekając im łatwe i pewne zwycięstwo. W tym celu kazał sobie dać hufiec flecistów, i nauczył go grać rozmaite melodye, znane koniom nieprzyjacielskim. Gdy tedy wszystko było już gotowe i obie armie stały naprzeciw siebie w szyku bojowym, wystąpił zdrajca ze swoją orkiestrą przed front i kazał zagrać wesołego obertasa. Na odgłos tej muzyki puściły się konie Sybarytów w tany, i nieład, jaki ztąd powstał, stał się przyczyną zupełnej klęski armii sybaryckiej.

Miano zrobić spostrzeżenie, że bydlę rogate przy dźwiękach bandurki zwykło paść się dłużej, a Arabowie utrzymują nawet, że muzyka przyczynia się do utuczenia bydła. Gdy w puszczy wielbłądy karawany upadają już prawie ze znużenia,

zaczynają przewodnicy śpiewać jak najgłośniej i orzeźwiają je tym sposobem.

Vigneul-Marville opisuje próbę, jaką przedsięwziął pewnego dnia dla zbadania wpływu muzyki na rozmaite zwierzęta. Kazawszy przygrywać pewną melodyę na tak zwanej „trąbie morskiej” (instrumencie smyczkowym, wynalezionym przez Włocha Marino), obserwował kota, psa, konia, osła, lanie, woly, małe ptaszki i drób, który przechadzał się pod jego oknem. „Kot” powiada — zdawał się nic nie czuć, i widziałem wyraźnie, że oddałby chętnie wszystkie symfonie i instrumenta za jedną myszkę. Nie okazywał żadnej zgola uciechy i usnął wkrótce na słońcu. Koń zatrzymał się przed oknem, i podnosił od czasu do czasu głowę szczypiąc potem dalej trawę. Pies usiadł jak małpa na tylnych łapach i utkwiał wzrok w muzykanta; w tej postawie pozostawał całą godzinę i zdawał się coś myśleć przytem. Osiół nie objawiał najmniejszej czułości i spożywał spokojnie swoje ściernie — *asinus ad lyram!* Lania nastawiła swoje duże szerokie uszy i zdawała się uważnie przysłuchiwać. Woly zdumiały się na chwilę, patrzyły na nas, jak gdyby nas znały, i poszły potem dalej swoją drogą. Drobne ptactwo, znajdujące się w klatce i na drzewach, wrzeszczało, jak gdyby je obskubywano. Kogut zaś zdawał się myśleć tylko o kurach, a kury o grzebaniu w śmieciu, tak że nie było widać po nich, by muzyka sprawiała im jakąkolwiek przyjemność.“

Podług Buffona jest pies bardzo tkliwy na dźwięki muzyki. „Widziałem psy — powiada — które niezmiernie lubiły muzykę, i przybiegały z dziedzińca lub kuchni, by przysłuchiwać się koncertowi, a zostawały tak długo, jak trwała muzyka, i dopiero potem wracały na swoje legowisko. Uważałem także, że dość dokładnie powtarzały pewien ton, podawany im głośno do ucha.“ Organizacya następcza w tej mierze wielką rozmaitość. Wiele psów wyje, gdy się gra na pewnych instrumentach, przy innych zaś nie. Pudel na przykład, słysząc wysokie tony skrzypcowe, kureczy się, chowa ogon pod siebie i wyje żalostnie, jak gdyby chciał kamień zmiękczyć. Nie wszystkie jednak pudle okazują tę antypatyę w równym stopniu; niektóre z nich na odgłos tuby zrywają się jak szalone i uciekają.

Słoń lubi bardzo muzykę i z łatwością uczy się poruszać do taktu, a nawet wtóżyć kilkoma dzikimi tonami bębnowi i piszczałce. Buffon opowiada o koncercie, wyprawianym w r. 1799 dla obudwu słońców paryskiego ogrodu zoologicznego, ażeby zbadać ich zmysł muzyczny. Pojedyncza melodya, grana na skrzypcach, zdawała się sprawiać jednemu wielką przyjemność; waryacje nie wzruszały go wcale, a popisowa arya Monsigniego nie robiła na nim żadnego wrażenia. Najbardziej podobała mu się pieśń „Charmanthe Gabryelle“, grana na waltorni; słuchał z zajęciem kołysząc się na swych niezgrabnych łapach i pomrukując od czasu do czasu unisono; kilka razy wsadzał trąbę w otwór waltorni i ssał powietrze tak chciwie, że grającemu aż tchu zabrakło. Gdy skończył grać, głaskał go słoń swoją trąbą, jak gdyby chciał mu podziękować. Wnoszono z tych prób, że słoń chętniej słucha niższych niż wysokich tonów, że woli melodyę niż harmonię, że bardziej podobają mu się pojedyncze melodye niż sztuczne, bardziej *adagio* niż *allegro*, słowem że lubi prostotę. Podług doświadczeń Ewerarda Homego (1823) zajmują słońca tylko niższe

tony waltorni i fortepianu; lew zaś przysłuchiwał się wysokim tonom uważnie i spokojnie, przy niskich zaś robił dzikie poruszenia; wiadomo zresztą, że lew antypatycznie nie cierpi piania koguta. Mysz ma także zmysł do muzyki; podług Archera przywabiano jedną fletem, a pewien miłośnik kanarków miał nawet słyszeć mysz naśladującą śpiew kanarka.

Plutarch i Pliniusz podają mnóstwo anegdot, odnoszących się do muzycznego zmysłu zwierząt. Znaną jest ze starożytnych czasów powieść o Arionie i jego delfinie, na której tle usnuł Szyller piękną balladę. Pisarze średniowieczni przypisują każdemu zwierzęciu pewien ulubiony instrument; niedźwiedziowi piszczałkę, jeleniom flet, łabędziowi cytrę, ptakom śpiewającym pikulinę, pszczołom cymbalki itd. Zapewne jest w tych twierdzeniach wiele fantazyi. Podobniejszą do prawdy jest historia o muzykancie wiejskim, który wracając z wesela chłopskiego, wpadł w wileczy dół i spostrzegł, że nie znajduje się w nim sam. Ze strachu zaczął grać na swoich skrzypcach; wilk przykucał w przeciwnym kącie i wył. Tak trwało do białego dnia. Struny pękały jedna po drugiej; skrzypek grał już na ostatniej strunie, gdy szczęściem nadeszli wieśniacy, i z niemałym zadziwieniem posłyszeli podziemną muzykę. Zbliżyli się więc do miejsca, z kąd dochodziły dźwięki, i ujrzeli Daniela w jamie. Skrzypek został wyratowany, a wilka ubito.

Pomiędzy zwierzętami niższego rzędu zdaje się być wąż najwięcej muzycznym. Są tacy murzyni, którzy umieją węzów poskramiać i zaprawiać do tańca (tak zwani pogromcy zwierząt). Chateaubriand opisuje scenę tego rodzaju, której był naocznym świadkiem w Kanadzie. „W miesiącu czerwcu 1796 roku — powiada — zwiedzaliśmy wyższą Kanadę z kilkoma dzikimi rodzinami ze szczepu Onontagów. Pewnego dnia, gdyśmy się rozłożyli nad brzegiem rzeki Jenesie, wsunął się grzechotnik do naszego obozu. Był z nami Kanadyjczyk, który grał na flecie. Ten postanowił nas zabawić i stanął naprzeciw węzowi z swoją niepokąnną bronią. Gdy zwierzę spostrzegło swego przeciwnika, zwinęło się w kółko, pochyliło łeb, wydęło pysk, i kłapało jadowitemi zębami; podwójny język jego migotał jak płomień, oczy błyszczały jak rozpalone węgle, cały kadłub nadymał się jak miech kowalski, wyprężona skóra straciła wszelki połysk, a szeleszczący ogon posuwał się tak gwałtownie, że wyglądał jak chmura. W tem zaczął Kanadyjczyk grać na swoim flecie. Wąż zdumiał się i cofnął łeb. Urok muzyki działał coraz widoczniej; oczy przybrały wyraz łagodniejszy, ogon poruszał się coraz powolniej, a kłapanie stawało się coraz słabszem. Zwinęty kadłub rozciągał się powoli, drżąca skóra odzyskała swój różnobarwny połysk, i z łbem przykrzywionym pozostało zwierzę nieruchomie w postawie, zdradzającej przyjemne zajęcie. Wtedy postąpił Kanadyjczyk kilka kroków grając ciągle rzewną, jednostajną melodyę; wąż położył łeb na ziemi, sunął go po trawie, i pełzał za grajkiem, zatrzymując się, gdy ten stanął, a posuwając się za nim, gdy szedł dalej. Tak wyprowadził go Kanadyjczyk z naszego obozu pośród tłumu Europejczyków i Indian, którzy zaledwie wierzyli własnym oczom; i wszyscy też żądali jednogłośnie, by darować życie temu szczególnemu zwierzęciu.“

Jaszczurki zdradzają także zmysł muzyczny; można je gwizdaniem odurzyć do tego stopnia, że dają się potem łowić

z łatwością. Ksiądz Labat wybrał się na wyspie Martinique z murzynem na polowanie na jaszczurki. Wkrótce spostrzegł wielką jaszczurkę, która rozciągnięta na gałęzi drzewa wygrzywała się na słońcu. Murzyn zaczął gwizdać, a zwierzę wysunęło łeb, ażeby zobaczyć, z kąd pochodzą dźwięki; wtedy zbliżył się murzyn ostrożnie, gwizdząc ciągle, i łaskotał je po bokach i po szyi końcem swego kija. Jaszczurce sprawiało to taką przyjemność, że tarzała się ciągle na grzbiecie, a w końcu wychyliła się z gałęzi tak dalece, że można jej było zarzucić sidło na szyję.

Zamiłowanie pajaka w muzyce jest również niewątpliwe. Michelet opowiada ciekawą w tym względzie anegdotę: „Sławny skrzypek Berthome zawdzięczał swoją wczesną sławę odosobnieniu, w jakim dozwolono mu pracować za młodu. W swojej samotności miał chłopak towarzysza, o którym nikt nie wiedział — małego pajaka. Z początku siedział on w zakątku na ścianie; powoli jednak wysunął się z kryjówki swojej na pult, z pultu na chłopca, i doszedł aż do zwinnej ręki, która poruszała smykem. Tu przysłuchiwał się z bliska, z wielkiem zajęciem jako zamiłowany dyletant, przedstawiając całe audytoryum. Więcej też nie potrzeba było młodemu artyście, by czuć podwójnie swoją duszę. Na nieszczęście weszła pewnego dnia do jego pokoju macocha z jakimś gościem, spostrzegła czulego pajaka na ręce, i jednym uderzeniem pantofla zniszczyła audytoryum. Chłopiec zemdlał natychmiast, chorował trzy miesiące, i omal nie przyplacił życiem tej straty.“

(Etykieta angielska). Każdy naród, ba każdy niemal kraj ma swoje właściwe zwyczaje i formy postępowania w życiu domowym i towarzyskim, których człowiek wykształcony nie może naruszać bezkarnie; ale nigdzie może nie są prawidła etykiety tak szczególne a częstokroć nawet śmieszne, jak w Anglii. Oto mamy pod ręką wydany świeżo w Londynie angielski kodeks grzeczności i przyzwoitości, z którego dość będzie przytoczyć kilka ustępów, ażeby usprawiedliwić powyższe zdanie.

„Co to jest gentlemen? — czytamy w tej książce — co to jest lady? — Te dwie istoty są podług autora angielskiego dwiema doskonałościami, które łączą w sobie wszystko, co tylko wychowanie dać może śmiertelnikowi. „Poznaje się np. gentlemen i lady po sposobie, w jaki poruszają młotek u drzwi (w Anglii bowiem są domy pozamykane, i kto chce wejść, musi pukać młotkiem). Biada temu, kto raz tylko zapuka, gdyż zaliczają go zazaz do rzędu sług, a w ogóle do pospólstwa. Strzeż się także pukać dwa razy, gdyż uważanoby cię za listonosza (postmann), który jedynie w całym królestwie ma prawo anonować się w ten sposób. Przedewszystkiem zaś strzeż się pukać zbyt głośno, gdyż nie nawidzimy wszelki hałas. Kilka lekkich uderzeń, następujących szybko po sobie, oto sposób, którym oznajmia się każdy gość dystygnowany. A gdy wchodzisz do sieni domu, nie zdejmuj kapelusza, trzymaj się śmiało i prosto, bo służyłby nam to lud bezczelny.“

„A gdy już gentlemen jest w salonie, niechże mówi cicho, i niech się nigdy nie zapomina tak dalece, by się śmiało głośno. Jeżeli nie zna się na koniach, niech zwróci rozmowę na podróże, a gdy mu podadzą szklanę Sherry, niech nigdy nie odmawia przyjęcia. Idąc do stołu powinien gentlemen

cofnąć się o kilka kroków i przepuścić damy, a dopiero potem zając wskazane sobie miejsce. Dawniej oddalały się damy zaraz po deserze, gdy podawano wino; dziś czynią chętnie dla panów tę małą koncesję, że pozostają do końca obiadu. Cywilizujemy się, i damy nie biorą tego zbyt za złe, jeżeli ktoś wypije więcej, niż mu służy; ale z etykietą to się nie zgadza.

Zajmującym jest rozdział o witaniu się na ulicy. We wszystkich innych krajach wita mężczyzna pierwszy spotkaną damę; ale uchowa Boże uczynić to w Londynie, gdyż nazwanoby cię po prostu gburem. Lady ma prawo witać pierwsza, i dopiero wtedy, gdy skinieniem głowy okaże, że chce być publicznie znaną przez ciebie, możesz zdjąć kapelusz i uśmiechnąć się przytem uprzejmie. Jeżeli nie da tego znaku, jestto dowód, że chce pozostać incognito.

Również oryginalnym jest rozdział o ubiorze. Wdziewa się frak i białą krawatkę idąc do teatru, nawet najmniejszego; również idzie się w takim ubiorze na obiad, na koncert, na odczyt Dickensa, lub jeżeli się odwiedza buduar damy. Do ślubu wdziewa się paletot, niebieski surdut, perłowe rękawiczki i jasne spodnie. Nakoniec na pogrzeb idzie się w czarnym paletocie.

Oto etykietałne prawidła Albionu, i nieradzimy przeto żadnemu cudzoziemcowi udawać się tam, nie nauczywszy się wprzód dokładnie całego kodeksu.

(Plemie Ujgurów). Podróżnik E. Vamberg podał w „British Association“ wiadomość o Ujgurach, bardzo starożytnem plemienu tureckiem, zamieszkującym pierwsiastkowo część Tataryi chińskiej, której ludność dzisiejszą stanowi mieszanina Turków, Mongołów i Kalmuków. Lud ten używał języka tureckiego, jako języka piśmiennego, wzięwszy alfabet od chrześcian nestoriańskich. Rękopisma ujgurskie, sporządzone w tem narzeczu, dostarczają najdawniejszych i najcenniejszych wiadomości, dotyczących historii Azji środkowej, a oraz i całego plemienia tureckiego. Rękopisma te wszakże są nadzwyczaj rzadkie, i Vambery zebrał, jak powiada wszystko, co odkryto z języka ujgurskiego. Ciekawy to fakt, że Ujgurowie w czasie, kiedy świat zachodni pogrążony był jeszcze w zupełnej ciemności i barbarzyństwie, mieli literaturę i byli miłośnikami książek. Drogocenny manuskrypt, który nabył Vambery, nosi datę z 1069 r. i był pisany w Kaszgar; traktuje on o kwestjach z dziedziny moralności i polityki, i tworzy pewien rodzaj podręcznika dla króla, udzielającego mu rad, w jaki sposób rządzić sprawiedliwie i pomyślnie. Książka podaje wiadomości o stanie socyalnym tego zajmującego ludu, i kładzie niejako fundament tych zasad, któremi się później zarządzili Turcy. Vambery, ukończywszy w roku zeszłym swoje „poszukiwania filologiczne nad językiem tureckiem w Azji środkowej“, zamierza obecnie ogłosić nowe dzieło o pomnikach ujgurskich. Zamyśla także wykazać, że Tatarzy w pierwotnych czasach nie byli takimi jak obecnie, i że ich cywilizacja jest nierównie dawniejsza niż cywilizacja Zachodu, którą to kwestyę obszernie traktuje William Hamilton Stewart w dziele swoim: *New System of Nature*, 2 vol., Glasgow 1851.

(Nowy sposób zabijania wielorybów). Wiadomo, że te olbrzymy oceanu uśmiercane bywają za pomocą oszczepów,

którymi tak długo lowcy zadają im bolesne razy, dopóki wieloryb, wraz z upływem krwi, męczeńskiej śmierci nie poniesie. Obecnie francuz Thiercelin wpadł na myśl zatrutowania harpunów strychniną, która śmierć zwierzęcia przyspiesza. Inny zaś Niemiec wynalazł aparat, który utkwiony w wielorybie dziurę łączy z baterią elektryczną tak wielkiej siły, że działanie jej wprędce pozbawia życia ścigane zwierzę. Niemiecka gazeta przemysłowa donosi, że Grenlandczycy w wspomniane aparaty coraz więcej zaopatrują statki wysyłane na połów wielorybów.

(Nowe wulkany Ameryki środkowej). Ameryka środkowa w ubiegłym roku była areną wielkich zjawisk wulkanicznych, w skutek burzących wnętrze ziemi czynników. W styczniu z. r., na płaszczyźnie Stanu Nikaragua, wytworzył się stożkowaty słup wulkaniczny, na sto przeszło stóp wyniosły, wyrzucając z paszczy z swej masy rozpalonego piasku. W lutym dźwignął się nowy wulkan na wyżynie Conchagua, położonej na jednym z wysokoków, tworzących wejście do zatoki Fonseca, w pośród której wulkan wyspy Tygru, ciska z szerokiej gardzieli słupy ognia i dymu.

Wybuch wulkanu Conchagua trwał przez cały marzec i kwiecień.

Rozpatrując się w karcie Ameryki, dostrzeglibyśmy, że dwa wulkany zatoki Fonseca, łączące się prawdopodobnie gdzieś w głębi za pośrednictwem wyspy Tygru, tworzą długi łańcuch wulkaniczny. Występuje on od północy w Meksyku, dalej przechodzi w kierunku od strony północno-zachodniej ku południowo-wschodniej przez Stan San Salvador, liczący jedenaście kraterów; następnie sięga Stanu Nikaragua, wrzynając się wulkanami el Viejo, Zelica, Monstambo, i nakoniec wysuwa się jeszcze dalej przez wyniosłe turnie Andów i Peru. Do tego łańcucha należy zaliczyć nowo-przybyły wulkan w okolicy miedzymorza Panama. Pierwsze jego wybuchy przeraziły ludność tamtejszą, pamiętną jeszcze klęsk miasta San Salvador w roku 1854, i tradycyi spustoszenia Caracasu w r. 1812. Dźwignięcie się wszakże wulkanu Conchagua uspokoiło nieco obawy. Jeżeli krater jego czynnym dalej będzie, stanie się on jakby kłapą bezpieczeństwa dla Panameczyków.

(Londyńskie towarzystwo opieki nad zwierzętami) (Royal Society for the Prevention of cruelty to animals) odbyło pod prezydencją hrabiego Harrowby 45. roczne posiedzenie. Sprawozdanie podaje nader pocieszające rezultaty; okazuje się mianowicie, że w ciągu zeszłego roku towarzystwo zaskarżyło o męczenie zwierząt 1200 osób, które na karę skazano. W większej części wypadków okrucieństwo przeciw koniom się zwracało; towarzystwo jednak zwróciło też uwagę na przewożenie bydła, na stryż owiec podczas zimnej pogody, na obcinanie psom uszów itd. Filje pozakładane na kontynencie i w koloniach, są według powyższego sprawozdania w ciągłej działalności; a niedawno założono kilka w Stanach Zjednoczonych. Roczne składki członków towarzystwa dały sumę 3000 funt.; z darów wpłynęło do towarzystwa 260 ft.

(Bunt robotniczy). Z każdym rokiem staje się droższą praca; nikt nie chce już pracować za dotychczasową zapłatę, i tak powstaje w społeczeństwie jedna rewolucja za drugą. Nawet stenografowie podnieśli bunt w Londynie, ponie-

waż uprzykrzyła im się praca nocna w parlamencie, i panowie deputowani musieli raz wyjątkowo wygłaszać swoje długie mowy na wiatr, gdyż stenografowie dzienników wcale się nimi nie zajmowali.

Stenografia jest bez wątpienia bardzo ważnym wynalazkiem; ale też z drugiej strony jestto istna plaga, skazująca miliony ludzi na to, by codziennie czytali cały plik jałowych mów parlamentarnych, które daleko lepiej byłoby pominąć milczeniem. Jakież to stopy papieru niszczy stenografia w ciągu jednej sessyi parlamentu, a ile czasu zabiera czytelnikowi z uszczerbkiem jego pracy dziennej, bo przecież sama ambicja wymaga, by choć pobieżnie przeczytać to, co mówiono. Jesteśmy przekonani, że byłoby daleko mniej mów bezużytecznych, gdyby nie stenografia, która je spisuje na to tylko, ażeby przekonać świat nazajutrz, że deputowany A. lub Z. wieloma słowami nic nie powiedział.

Ale zabawniejszym jeszcze niż to, jest bunt kucharek

w francuskim mieście Alais, które wszystkie jednego dnia porzuciły łyżki i rądle i wypowiedziały służbę swoim paniom.

I czegoż chcą te kucharki? Stawiają swoim paniom trzy warunki, od których nie chcą odstąpić. Żądają: podwyższenia zapłaty, zmniejszenia roboty i prawa przyjmowania w kuchni swoich „kuzynów“.

Można sobie wyobrazić, jakie przerażenie sprawił ten bunt we wszystkich domach. Zaczawszy od pani burmistrzowej aż do pospolitej mieszcanki musiały wszystkie damy przypasać fartuszki, same skrobać ziemniaki, misieć ciasto i przystawiać mięso do ognia; ponieważ zatrudnienie takie było dla nich nieznośne, a kucharki nie dały się zmiękczyć, zdecydowały się najbogatsze rodziny na zimną kuchnię i żywiły się przez cały tydzień wędliną, kupowaną u rzeźników.

Tymczasem miano już poczynić pierwsze kroki do zgody; panie skłoniły się wreszcie ustąpić w jednym punkcie, mianowicie co do „kuzynów“, a że to jest kwestya najdrażliwsza dla kucharek, bo któraż z nich nie ma kuzyna po Adamie, więc dadzą się zapewne ułagodzić i przystąpią do zgody.

HUMORESKA.



Mąż: A — moja droga żoneczko — jakaż to miła niespodzianka — śliczne pudełko na tytuń! Patrz, tytuń już włożyłem, a te dziurki dokola, to pewnie na sygara?

Żona: Dlaboga, co ja widzę! Mój nowy kapelusz napechany tytuniem!

REBUS.



Znaczenie szarad w XII. zeszyście:

I. Napoleon. — II. Apostoł.

Z nowym rocznikiem „STRZECZY“ rozpocznie się nowa powieść B. Bolesławity: Czarna perełka.